

ARTUR SCHNITZLER



LWÓW-WARSZAWA-POZNAŃ, WYDAWNICTWO

ZAKUPIONO
od D. R. Antykwariat
Gdańsk - Wrester
dn

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Im. LUDWIKA WARYŃSKIEGO

w ŁOŹY

Nr 253198 dn. 28.6 1974 r.

TANIEC MIŁOŚCI

WYDAWNICTWO »KULTURA I SZTUKA« WE LWOWIE

Poleca następujące wydawnictwa:

Giovanni Boccaccio, Dekameron, wydanie nowe 2 tomowe
ilustrowane.

Adam Brzeg, Haszys/e powieść.

Giacomo Casanova, Pamiętniki podróżnika awanturника wy-
danie ilustrowane.

Prof. Dr. med A. Forel, Zagadnienia seksualne wydanie nowe
11—15 rys. w 2 tomach.

Gyp, Biedne Kobiетки, Obrazki z życia wykwinnych Paryżanek.

Heptameron, Opowiadania królowej Nawarry, według doku-
mentów zebranych przez Le Raux de Lincy i Montaignon
z 35 kolorowemi ilustracjami w pięknej opr.

Piotr Louys, Afrodyta przekład z francuskiego.

Edgar Allan Poe, Przygody Artura Go dona Pym.

Marelli Prevost, Pół-dziewice powieść.

Emil Rasmussen, Via dell' Inferno powieść.

Saener-Masoch, Wenus w futrze powieść wyd. II.

— Demoniczne kobiety, wyd. II.

ARTUR SCHNITZLER

TANIEC MIŁOŚCI

(REIGEN)

Z CZTERDZIESTEGO TRZECIEGO TYSIĄCA PRZEŁOŻYŁ
MARJAN ZBARASKI



LWÓW · WARSZAWA · POZNAŃ
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”
LWÓW, KSIĘGARNIA AKADEMICKA — NEW-YORK, POLISH
BOOK IMPORTING CO. INC.



836-2

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEZONE.
COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”
LWOW (POLAND)

TANIEC MIŁOŚCI

DIALOGÓW DZIESIĘĆ

OSOBY:

DZIEWKA

ŻOŁNIERZ

POKOJÓWKA

PANICZ

MŁODA MĘŻATKA

MAŁŻONEK

SŁODKA DZIEWCZYNA

POETA

AKTORKA

HRABIA

ŻOŁNIERZ I DZIEWKA

Późnym wieczorem, koło Augartenbrücke.

ŻOŁNIERZ (nadchodzi gwizdząc, spieszy do domu).

DZIEWKA.

Pójdź mój śliczny aniołku.

ŻOŁNIERZ (odwraca się, potem idzie znowu dalej).

DZIEWKA.

A co? Nie pójdiesz ze mną?

ŻOŁNIERZ.

Ach, to ja jestem tym aniołkiem?

DZIEWKA.

Pewnie, a któżby? Chodź, do mnie. Mieszkam zaraz tutaj, w pobliżu.

ŻOŁNIERZ.

Nimam czasu. Drałuję do kasarni!

DZIEWKA.

Do kasarni zajdziesz zawsze jeszcze na czas. U mnie lepiej.

ŻOŁNIERZ (zbliża się).

A coby nie?

DZIEWKA.

Pst! Lada chwila może nadejść policjant.

ŻOLNIERZ.

Głupstwo! Policjant! Abo nimam to bagnetu?

DZIEWKA.

No, chodźże.

ŻOLNIERZ.

Odczep si. Nimam ani dudka.

DZIEWKA.

Nie chcę pieniędzy.

ŻOLNIERZ (przystanął. Stoją przy latarni).

Pieniądzy nie chcesz. A coś ty za jedna?

DZIEWKA.

Pieniądze bioreę od cywilów. Taki jak ty — może zadarmo.

ŻOLNIERZ.

To ty pewnie ta, co to mi o niej Huber rozpowiadał.

DZIEWKA.

Nie znam żadnego Hubera.

ŻOLNIERZ.

Rychtyk tasama! Wisz... w tyj ci kawiarni na Schiffgasse... coście to poszli razem do domu.

DZIEWKA.

Z tej kawiarni poszłam już z niejednym do domu...
ho! ho!

ŻOLNIERZ.

No, to chodźmy, chodźmy.

DZIEWKA.

Co cię tak przypiliło?

ŻOŁNIERZ.

Ta na co czekać? O dziesiątej muszy być w kasarni.

DZIEWKA.

Jak długo jesteś w służbie?

ŻOŁNIERZ.

A co ci do tego! Daleko mieszkasz?

DZIEWKA.

Dziesięć minut drogi.

ŻOŁNIERZ.

To za daleko. Daj gęby.

DZIEWKA (całuje go).

To mi najlepiej smakuje, jak kogo lubię!

ŻOŁNIERZ.

Mnie niekoniecznie to. Ale pójść taki nie pójdę, bo za daleko.

DZIEWKA.

Wiesz co? Przyjdź jutro popołudniu.

ŻOŁNIERZ.

Zgoda. Daj mi swój adres.

DZIEWKA.

A nuż nie przyjdiesz?

ŻOŁNIERZ.

Jak ci mówię...

DZIEWKA.

Wiesz co — jak ci teraz do mnie za daleko — to ...
to ... (Wskazuje Dunaj.)

ŻOŁNIERZ.

Jakże to?

DZIEWKA.

Tu także cichutko . . . nikt tu teraz nie przyjdzie.

ŻOŁNIERZ.

Eh, to ni tak, jak ma być.

DZIEWKA.

Ze mną zawsze tak, jak ma być. Pójdź! Kto tam wie, czy jutro będziemy jeszcze żyli?

ŻOŁNIERZ.

To chodź, — ale duchem!

DZIEWKA.

Ostrożnie, tu tak ciemno. Jak się pośліżniesz, bęc! do Dunaju.

ŻOŁNIERZ.

Toby ci było.

DZIEWKA.

Pst, czekaj krzynekę. Zaraz tu będzie ławka.

ŻOŁNIERZ.

Jesteś sy tu jak w domu.

DZIEWKA.

Takiego chciałabym mieć kochanka jak ty.

ŻOŁNIERZ.

Byłbym straszennie zazdrosny.

DZIEWKA.

Jużbym cię tego oduczyła.

ŻOŁNIERZ.

Ha . . .

DZIEWKA.

Cicho! Czasem zawieruszy się tu jakiś policjant. Czyby ktoś wierzył, żeśmy w samym środku Wiednia?

ŻOŁNIERZ.

Chodź tu, chodź.

DZIEWKA.

Co ci strzeliło do głowy, jak się poślizniemy, to wpadniemy do wody.

ŻOŁNIERZ (pochwycił ją).

Ej, ty —

DZIEWKA.

Trzymaj się mocno.

ŻOŁNIERZ.

Nie bój się...

DZIEWKA.

Na ławce byłoby lepiej.

ŻOŁNIERZ.

Tu albo tam... Nu, wylaż!

DZIEWKA.

Czego tak lecisz.

ŻOŁNIERZ.

Lecę do kasarni, i tak bendzi za późno.

DZIEWKA.

Jak ci na imię?

ŻOŁNIERZ.

Co ci to obchodzi?

DZIEWKA.

Ja się nazywam Leokadja.

ŻOŁNIERZ.

He! Takiego przezwiśka jeszcze nie słyzał.

DZIEWKA.

Ty!

ŻOŁNIERZ.

Czego?

DZIEWKA.

Daj choć szóstkę na szperę!

ŻOŁNIERZ.

Co! ... Myślisz, że m twój frajer? Serwus! Leokadja ...

DZIEWKA.

Dziad! Baciarz!

(Żołnierz znik!).

ŻOŁNIERZ I POKOJÓWKA

W Praterze. Wieczór niedzielny.

Droga, prowadząca z Wurstelprateru w ciemne aleje. Słychać jeszcze niewyraźną muzykę z Wurstelprateru i dźwięki pięciocentowej polki, którą wygrywają fleciści. Żołnierz. Pokojówka.

POKOJÓWKA.

Niechże mi pan powie, czemu to pan chciał na gwałt odchodzić.

ŻOŁNIERZ (zażenowany, śmieje się głupkowato).

POKOJÓWKA.

Tak było fajnie. Lubię tańczyć aż strach.

ŻOŁNIERZ (obejmuje ją w pól).

POKOJÓWKA (zezwała na to).

Teraz już nie tańczymy. Czego mnie pan tak ściska?

ŻOŁNIERZ.

Jak się panna wabi? Kasia?

POKOJÓWKA.

Panu ino Kasia w głowie.

ŻOŁNIERZ.

Wim już, wim . . . Marysia . . .

POKOJÓWKA.

Jej! jak tu ciemno. Ja się boję.

ŻOŁNIERZ.

Jak ja z panną jezdę, to się panna nic nie bój.
Dzięki Bogu, co ja to ja!

POKOJÓWKA.

Ale gdzie my tu idziemy? Tu niema ani żywej duszy.
Chodź pan, wracajmy! — Tu Oj! jak ciemno!

ŻOŁNIERZ (pociąga silnie cygaro, które na końcu się żarzy).
Awo! już jasno! Aj ty moja rybko!

POKOJÓWKA.

Ta co pan robi? Żeby ja to wiedziała!

ŻOŁNIERZ.

Niech mnie djabli porwą, iżli która u Swobody była
taka w ciele jak panna Marysia.

POKOJÓWKA.

Czy pan tak wszystkie macał?

ŻOŁNIERZ.

Przy tańcu można niejedno zmiarkować. Ho, ho,
jeszcze jak!

POKOJÓWKA.

Tak, ale z tą blondynką z krzywym pyskiem, to ci
pan hulał! Więcej niż ze mną.

ŻOŁNIERZ.

To dawna znajoma od mojego kamrata.

POKOJÓWKA.

Tego kaprała z wąsami?

ŻOŁNIERZ.

Ni, to był cywil, wi panna, ten co to z początku sie-
dział ze mną przy stole i tak ci chrypiał jak kogut.

POKOJÓWKA.

Aha, już wim. To taki napastliwy człowiek.

ŻOLNIERZ.

Może co pannie zrobił? Dałbym ja jemu! Co on pannie zrobił?

POKOJÓWKA.

E nic, tylko widziałam, jak się do innych zabirał.

ŻOLNIERZ.

Niech no panna Marysia powi...

POKOJÓWKA.

Jeszcze mnie pan podpali tym sygarem.

ŻOLNIERZ.

Gdzie zaś! — Panno Marysiu, mówmy sobi ty.

POKOJÓWKA.

E... jeszcześmy nie takie dobre znajome. —

ŻOLNIERZ.

Insze to si ni cirpiom ani na oczy a gadajom sobi ty.

POKOJÓWKA.

Na inszy raz, kiedy... Ale, panie Franciszku.

ŻOLNIERZ.

To już panna źmiarkowała moje imię?

POKOJÓWKA.

Ale panie Franciszku...

ŻOLNIERZ.

Mówże panna: Franek, panno Marysiu.

POKOJÓWKA.

Nie bądź no pan taki nahalny — oj! Gdyby tak kto nadszedł!

ŻOLNIERZ.

Ta niechny najdszedł przecik ni widać po koniec
nosa . . .

POKOJÓWKA.

O la Boga, gdziemy też zaszli?

ŻOLNIERZ.

Patrz si panna, tutaj akurat taka parka jak my.

POKOJÓWKA.

Gdzie? Nic nie widać.

ŻOLNIERZ.

Awo . . . przed nami.

POKOJÓWKA.

Czego pan mówi: taka parka jak my?

ŻOLNIERZ.

Myślim sy, co oni się tyż kochajom.

POKOJÓWKA.

Ojoj! panie Franciszku, co to takiego? O mało co nie
upadłam.

ŻOLNIERZ.

Aha, tu już sztachetki . . .

POKOJÓWKA.

Niech się pan tak nie pcha bo upadnę.

ŻOLNIERZ.

Pst! Cicho.

POKOJÓWKA.

Teraz to naprawdę będę krzyczeć gwałtu — Co pan
robi . . . ale —

ŻOLNIERZ.

Tera tu nima żywej duszy.

POKOJÓWKA.

Wracajmy tam, gdzie są ludzie.

ŻOLNIERZ.

Ta do czego nam ludzi, Marysiu, na co nam ich do tego ... ha ... ha ...

POKOJÓWKA.

Ale, panie Franciszku, proszę pana, la Boga świętego, żebym to ... była wiedziała ... och ... och ... chodź! ...

ŻOLNIERZ (w uniesieniu).

Dalibóg jeszcze raz ... och ...

POKOJÓWKA.

... Nie śmiem ci nawet w oczy patrzeć.

ŻOLNIERZ.

E, co tam w oczy.

ŻOLNIERZ.

Ale Maryś, przecie panna nie może tu zostać leżeć w trawie.

POKOJÓWKA.

Pomóż, pomóż mi, Franuś!

ŻOLNIERZ.

Nu, wstawaj.

POKOJÓWKA.

O Boże, Franku.

ŻOŁNIERZ.

No, co znowu Franek?

POKOJÓWKA.

Niegodziwy z ciebie człowiek, Franku.

ŻOŁNIERZ.

Czekaj ino trochu.

POKOJÓWKA.

Już mnie porzucasz?

ŻOŁNIERZ.

No, przecik wirdzinie wolno sy zapalić.

POKOJÓWKA.

Tak ciemno.

ŻOŁNIERZ.

Jutro z rana znów będzie jasno.

POKOJÓWKA.

Powiedz, czy mnie kochasz?

ŻOŁNIERZ.

No, przecik musiała to panna Marysia poczuć, ni?

POKOJÓWKA.

Dokądże idziemy?

ŻOŁNIERZ.

Ta z powrotem.

POKOJÓWKA.

Oj! Nie leć tak prędko!

ŻOŁNIERZ.

Ta co takiego! Ni bedy laz po omacku.

POKOJÓWKA.

Powiedz, kochasz mnie odrobinę?

ŻOŁNIERZ.

Dopierom ci to powiedział.

POKOJÓWKA.

To choć mnie pocałuj!

ŻOŁNIERZ (łaskawie).

Masz . . . Słuchajno, — teraz możemy znów pójść na muzykę.

POKOJÓWKA.

Tybyś może znów chciał hulać?

ŻOŁNIERZ.

Czemuż ni?

POKOJÓWKA.

Kiedy bo ja, muszę już iść do domu. I tak dostanę besztanie, moja pani to taka . . . onaby chciała, żebym wiecznie ino w domu siedziała.

ŻOŁNIERZ.

To sy idź do domu.

POKOJÓWKA.

Myślałam, co mnie pan Franciszek do domu odprowadzi.

ŻOŁNIERZ.

Odprowadzić? Ta na co!

POKOJÓWKA.

To tak smutno samej iść do domu.

ŻOŁNIERZ.

A gdzie panna mieszka?

POKOJÓWKA.

Nie daleko, na Porcelangasse.

ŻOŁNIERZ.

Tak? To mamy jedny drogi... Ali tera to za wcześnie... tera to sobi jeszcze pohulamy, mam dziś frei.. Przed dwunastą nie potrzebuję dekować si w karni. Tera jeszcze potańcujim.

POKOJÓWKA.

Aha, teraz kolej na tę blondynkę z krzywym pyskiem.

ŻOŁNIERZ.

Ph... jij pysk ni taki znówś krzywy.

POKOJÓWKA.

Mój Boże, jakie te mężczyzny paskudne! Pewnie pan z każdą to samo robi, co?

ŻOŁNIERZ.

Ta toby było zadużo.

POKOJÓWKA.

Słuchaj Franek, nie tańcz dzisiaj, zostań ze mną.

ŻOŁNIERZ.

Dobrze, dobrze. Trochu taki pohulam.

POKOJÓWKA.

Ja już dziś z nikim tańczyć nie będę.

ŻOŁNIERZ.

Oho, już jezd...

POKOJÓWKA.

Kto taki?

ŻOŁNIERZ.

Swoboda! Jakmy tu duchem zaszli. Jeszcze to furt grają... tadarada, tadarada (nuci). No, jak zaczekasz, to ci odprowadzimy.

POKOJÓWKA.

Poczekam.

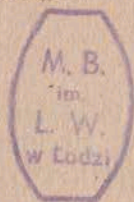
(Wchodzą do sali tańców).

ŻOŁNIERZ.

198727

Wie panna Marysia co, każ se panna dać szklanke piwa (Zwracając się do blondynki, która właśnie, tańczyła z jakimś chłopakiem, z elegancją:)

Czy mogim pannę prosić?



POKOJÓWKA I PANICZ

Upalne popołudnie lata. — Rodzice na letnim mieszkaniu. Kucharka ma wychód. — Pokojówka pisze w kuchni list do kochanka żołnierza. Z pokoju panicza słycać dzwonek. Pokojówka wstaje i idzie do pokoju panicza. Panicz leży na kanapie, pali cygaro i czyta francuską powieść.

POKOJÓWKA.

Proszę Panicza?

PANICZ.

A tak, Maryniu, tak, to ja dzwoniłem... czego ja to chciałem... prawda, niechno Marynia pospuszcza story... Jest chłodniej, gdy story spuszczone... tak...

(Pokojówka idzie do okna i spuszcza story).

PANICZ (czyta).

Co Marynia robi? Przecież tak ciemno, że czytać nie można.

POKOJÓWKA.

Panicz zawsze taki pilny.

PANICZ (pomija tę uwagę z miną pełną godności).

Dobrze już.

(Marynia odchodzi).

PANICZ (usiłuje dalej czytać, po chwili jednak odrzuca książkę i ponownie dzwoni).

POKOJÓWKA (wchodzi).

PANICZ.

Maryniu... cóżem to chciał powiedzieć... aha...
prawda... czy niema koniaku w domu?

POKOJÓWKA.

Jest, ale pewnie zamknięty.

PANICZ.

A kto ma klucze?

POKOJÓWKA.

Klucze ma Lina.

PANICZ.

Kto to jest ta Lina?

POKOJÓWKA.

Kucharka, proszę panicza.

PANICZ.

To proszę powiedzieć Linie.

POKOJÓWKA.

Kiedy Lina ma dziś wychód.

PANICZ.

Tak...

POKOJÓWKA.

Może paniczowi przynieść z kawiarni...

PANICZ.

O, nie... i tak dość gorąco. Nie chcę koniaku. Wie
Marynia co, proszę mi przynieść szklanekę wody.
Pst, Maryniu — proszę tylko dużo odtoczyć, niech
będzie zimna.

(Pokojówka odchodzi).

PANICZ (patrzy za nią, u drzwi pokojówka ogląda się za nim; panicz patrzy przed siebie. Pokojówka odkręca kurek wodociągu i toczy wodę. W międzyczasie idzie do swego pokoiku, myje ręce, poprawia przed lustrem grzywkę. Potem przynosi paniczowi szklanę wody. Zbliża się do kanapy).

PANICZ (podnosi się do połowy, pokojówka podaje mu szklanę, palce ich stykają się).

PANICZ.

Tak, dziękuję. — No, cóż tam? — Niechże Marynia uważa, proszę postawić szklanę na podstawce... (Kładzie się i wyciąga znowu).
Która to godzina?

POKOJÓWKA.

Piąta, proszę panicza.

PANICZ.

Piąta, — dobrze.

POKOJÓWKA (odchodzi, u drzwi ogląda się; spostrzega wzrok panicza na sobie i uśmiecha się).

PANICZ (leży chwilę, potem wstaje nagle, idzie ku drzwiom, potem napowrót kładzie się na kanapę. Usiłuje znów czytać. Po kilku minutach znowu dzwoni).

POKOJÓWKA (z uśmiechem, którego nie stara się ukryć).

PANICZ.

Maryniu, chciałem się o coś zapytać. Czy nie był tu dziś przedpołudniem doktor Schüller?

POKOJÓWKA.

Nie, dziś przedpołudniem nikogo nie było.

PANICZ.

Hm, to szczególne. Więc doktor Schüller nie był? Czy Marynia wogóle zna doktora Schüllera?

POKOJÓWKA.

Naturalnie. To ten wysoki pan z czarną brodą.

PANICZ.

Tak. A może przecież tu był?

POKOJÓWKA.

Nie, proszę panicza, nikogo tu nie było.

PANICZ (zdecydowany).

Niech Marynia się do mnie zbliży.

POKOJÓWKA (zbliża się nieco).

Bardzo proszę.

PANICZ.

Bliżej... tak... aa... zdawało mi się tylko...

POKOJÓWKA.

Co to paniczowi się stało?

PANICZ.

Zdawało... zdawało mi się — że ta bluzka... Cóż to za bluzka... Niechże Marynia się zbliży. Przecież nie ugryzę.

POKOJÓWKA (dochodzi).

A co moja bluzka? Czy się paniczowi nie spodobała?

PANICZ (dotyka się bluzki, przyciągając zarazem pokojówkę do siebie).

Niebieska? To ładny niebieski kolor. (Z prostotą). Marynia się bardzo ładnie ubiera.

POKOJÓWKA.

Ale — proszę panicza.

PANICZ.

No, cóż tam... (Odpiął jej bluzkę. Rzeczowo). Marynia ma ładną białą cerę.

POKOJÓWKA.

Panicz mi pochlebia.

PANICZ (całuje ją w piersi).

To przecież nie boli.

POKOJÓWKA.

O nie.

PANICZ.

Bo Marynia tak wzdycha? Czego Marynia tak wzdycha?

POKOJÓWKA.

Ach, panie Alfredzie ...

PANICZ.

A jakie to Marynia ma pantofelki ...

POKOJÓWKA.

... Ależ ... proszę panicza ... gdyby tak ktoś zadzwonił?

PANICZ.

Któżby teraz dzwonił?

POKOJÓWKA.

Ależ proszę panicza doprawdy ... tak jasno ...

PANICZ.

Przedemną Marynia niema się czego wstydzić, ani wogóle przed nikim ... jeżeli się jest tak ładną. Słowo daję, Marynia jest ... Wie Marynia, nawet jej włosy pachną przyjemnie.

POKOJÓWKA.

Panie Alfredzie ...

PANICZ.

Tylko bez tych historyj ... Widziałem już Marynię trochę inaczej ... Wtedy, w nocy com przyszedł do domu ... i chciałem się napić wody. Drzwi do pokoju Maryni były otwarte, no, i ...

POKOJÓWKA (zakrywa twarz).

O Boże, nie myślałam, że pan Alfred taki niedobry.

PANICZ.

Wtedy widziałem... to... i to... i to... i —

POKOJÓWKA.

Ależ, panie Alfredzie!

PANICZ.

Pójdźże tu... tak, tak.

POKOJÓWKA.

A jak teraz kto zadzwoni —

PANICZ.

Przestań-że już raz... w najgorszym razie nie otworzysz...

(Dzwonek).

PANICZ.

Do diabła... Cóż to za hultaj takie hałasy wyprawia? Może już pierwaj dzwonił, a myśmy nic nie słyszeli?

POKOJÓWKA.

O, ja ciągle uważałam.

PANICZ.

Niech tam Marynia popatrzy — przez okienko.

POKOJÓWKA.

Panie Alfredzie... Pan taki... taki niedobry.

PANICZ.

Niechże Marynia zobaczy...

POKOJÓWKA (odchodzi).

PANICZ (podnosi prędko story).

POKOJÓWKA (wraca).

Pewnie odszedł. Bo nikogo niebyło. Może to był
doktor Schüller.

PANICZ (niemile dotknięty).

Dobrze.

POKOJÓWKA (zbliża się doń).

PANICZ (usuwa się).

— Maryniu — idę do kawiarni.

POKOJÓWKA (czule).

Już... panie Alfredzie?

PANICZ (surowo).

Idę do kawiarni. Gdyby doktor Schüller nadszedł —

POKOJÓWKA.

On już dziś pewnie nie przyjdzie.

PANICZ (z jeszcze surowszą miną).

Gdyby doktor Schüller przyszedł, to... to — jestem
w kawiarni. — (Wychodzi do drugiego pokoju).

(Pokójówka bierze cygaro ze stolika, chowa je do kieszeni
i odchodzi).

PANICZ I MŁODA MEŻATKA

Wieczór. — Salon w kamienicy przy Schwindgasse, umeblowany z pretensjonalną a pospolitą elegancją.

Panicz dopiero co wszedł. W kapeluszu na głowie i w paltocie zapala świecę. Potem otwiera drzwi sąsiedniego pokoju i rzuca okiem do wnętrza. Świece salonu oświetlają posadzkę i łóżko z baldachimem, stojące przy ścianie. Z kominka umieszczonego w rogu sypialni, pada na firanki łóżka czerwonawe światło. — Panicz przygląda się także sypialni. Bierze z komódki rozpylacz i zlewa poduszki perfumą fiołkową. Potem przechadza się z rozpylaczem naciskając bezustanku mały balonik, tak, że wkrótce wszędzie rozlewa się woń fiołków. Nareszcie zdejmuje palto i kapelusz. Siada na fotelu z niebieskiego aksamitu i zapala papierosa. Po chwili wstaje i upewnia się, czy zielone żaluzje są spuszczone. Naraz wraca do sypialni, otwiera szufladę szafki. Wsuwa rękę i znajduje szpilkę szyldkretową. Szuka miejsca, aby ją schować, w końcu wkłada ją w kieszeń paltota. Potem otwiera szafę w salonie, wyjmuje srebrną tacę z flaszką koniaku i z dwoma kieliszkami i stawia na stole. Z paltota wyjmuje małą, białą paczkę. Otwiera ją i kładzie przy koniaku: wraca do szafy, wyjmuje dwa małe talerze i dwa nakrycia. Wyjmuje z paczki kandyzowany kasztan i zjada go. Nalewa sobie kieliszek koniaku i wypija go szybko. Potem spogląda na zegarek. Przechadza się po pokoju. Przed wielkiem zwierciadłem zatrzymuje się chwilę i poprawia sobie grzebykiem włosy i wąsiki. — Potem idzie do przedpokoju i nasłuchuje. Nic nie słyhać. Nareszcie zasuwa niebieskie portjery u wejścia do sypialni. Słyhać głos dzwonka. Panicz zrywa się lekko. Potem rzuca się na fotel i wstaje dopiero wtedy gdy drzwi się otwarły i weszła młoda mężatka.

MŁODA MEŻATKA (gęsto zawoalowana, zamyka drzwi za sobą, zatrzymuje się chwilę, przyciskając lewą rękę do serca, jakgdyby chciała stłumić gwałtowne wzruszenie).

PANICZ (podbiega ku niej, chwytając jej lewą rękę i wyciska na białej, czarno wyszywanej rękawiczce pocałunek. Mówi szepem:)

Dziękuję pani.

MŁODA MEŻATKA.

Alfredzie — Alfredzie!

PANICZ.

Pani ... Łaskawa pani, proszę — pani Emmo ...

MŁODA MEŻATKA.

Zaraz ... niech odetchnę chwilę — proszę ... proszę bardzo, Alfredzie! (Stoi jeszcze we drzwiach.)

PANICZ (stoi przed nią, trzyma jej rękę).

MŁODA MEŻATKA.

Gdzież właściwie jestem?

PANICZ.

U mnie.

MŁODA MEŻATKA.

Ta kamienica jest straszną, Alfredzie.

PANICZ.

Dlaczego? To bardzo elegancka kamienica.

MŁODA MEŻATKA.

Spotkałam na schodach dwóch panów.

PANICZ.

Znajomych!

MŁODA MEŻATKA.

Nie wiem. Być może.

PANICZ.

Przepraszam łaskawą panią, ale pani zna chyba swoich znajomych.

MŁODA MEŻATKA.

Nic przecież nie widziałam.

PANICZ.

Gdyby to byli najlepsi przyjaciele nie poznaliby pani. Ja sam... gdybym nie wiedział, że to pani... ta woalka —

MŁODA MEŻATKA.

To są dwie woalki.

PANICZ.

Czy nie podejdzie pani trochę bliżej? ... Niechże pani przynajmniej zdejmie kapelusz!

MŁODA MEŻATKA.

Co panu przychodzi do głowy? Powiedziałam pięć minut... Nie dłużej, przysięgam panu —

PANICZ.

Więc woalkę —

MŁODA MEŻATKA.

Dwie.

PANICZ.

No tak, obie woalki — niech przynajmniej zobaczę panią.

MŁODA MEŻATKA.

Czy kochasz mnie, Alfredzie?

PANICZ (urazony).

Emmo — pani pyta...

MŁODA MEŻATKA.

Jak tu gorąco!

PANICZ.

Ależ pani jeszcze we futrze — pani się przeziębi.

MŁODA MEŻATKA (wchodzi nareszcie do pokoju, pada na fotel).

Jestem śmiertelnie znużona.

PANICZ.

Niech pani pozwoli: (Zdejmuje woalki, wyciąga szpilkę z kapelusza, kładzie kapelusz, szpilkę, woalki na boku).

MŁODA MEŻATKA (nie wzbrania tego).

PANICZ (staje przed nią, potrząsa głową).

MŁODA MEŻATKA.

Cóż to panu?

PANICZ.

Tak piękną nie była pani jeszcze nigdy.

MŁODA MEŻATKA.

Jakto?

PANICZ.

Sam... na sam z panią — Emmo —

(Przykleka obok fotelu, bierze jej obie ręce i okrywa je pocałunkami).

MŁODA MEŻATKA.

A teraz... pozwól mi pan odejść. Zrobiłam, czegoś pan odemnie żądał.

PANICZ (ukrywa głowę w fałdach jej sukni).

MŁODA MEŻATKA.

Przyrzekłeś mi pan, że będziesz grzeczny.

PANICZ.

Tak.

MŁODA MEŻATKA.

Ależ można się udusić w tym pokoju.

PANICZ (wstaje).

Pani ma jeszcze futro na sobie.

MŁODA MEŻATKA.

Położ je pan obok kapelusza.

PANICZ (zdejmuje z niej futro i kładzie je również na kanapie).

MŁODA MEŻATKA.

A teraz — adieu —

PANICZ.

Emmo! — Emmo!

MŁODA MEŻATKA.

Pięć minut dawno już minęło.

PANICZ.

Ani jedna!

MŁODA MEŻATKA.

Alfredzie, powiedz mi dokładnie, która godzina?

PANICZ.

Kwadrans na siódmą.

MŁODA MEŻATKA.

Teraz powinnabym już dawno być u siostry.

PANICZ.

Siostrę może pani często odwiedzać...

MŁODA MEŻATKA.

O Boże, Alfredzie, dlaczego mnie pan namówił... do tego...

PANICZ.

Bo cię... ubóstwiam Emmo!!

MŁODA MEŻATKA.

Ile razy pan to już innym mówił?

PANICZ.

Od czasu, kiedy panią poznałem, żadnej.

MŁODA MEŻATKA.

Co za lekkomyślność z mej strony! Gdyby mi kto był powiedział... jeszcze przed tygodniem... jeszcze wczoraj...

PANICZ.

A przedwczoraj pani mi przecież już przyrzekła...

MŁODA MEŻATKA.

Tak mię pan męczył. Nie chciałam. — Bóg mi świadkiem że nie chciałam... Wczoraj bylam zdecydowana... Wie pan, że wczoraj wieczór napisałam do pana długi list?

PANICZ.

Nie dostałem żadnego listu.

MŁODA MEŻATKA.

Podarłam go. Och! powinnam była ten list posłać.

PANICZ.

A przecież tak lepiej...

MŁODA MEŻATKA.

Nie, to jest niegodne. Sama siebie pojąć nie mogę. Adieu, Alfredzie, puść mnie pan.

PANICZ (obejmuje ją i okrywa jej twarz gorącymi pocałunkami)

MŁODA MEŻATKA.

Tak... pan dotrzymuje słowa.

PANICZ.

Jeszcze raz — jeden raz tylko.

MŁODA MEŻATKA.

Po raz ostatni. (On ją całuje, ona pocałunek oddaje. Pozostają długo w uścisku).

PANICZ.

Czy wiesz Emmo? Dopiero teraz wiem, co to jest szczęście.

MŁODA MEŻATKA (przechyla się w tył na fotelu).

PANICZ (ślada na oparciu, obejmuje lekko ramieniem jej szyję).
A właściwie... co mogłoby być szczęściem...

MŁODA MEŻATKA (głęboko wzdycha).

PANICZ (całuje ją znów).

MŁODA MEŻATKA.

Alfredzie, Alfredzie, co pan ze mnie robi!

PANICZ.

Nieprawdaż — tu wcale zacisznie... A jak bezpiecznie! Tysiąc razy milej, niż owe schadzki pod gołem niebem.

MŁODA MEŻATKA.

Ach, nie przypominaj mi...

PANICZ.

Będę je zawsze z rozkoszą wspominał. Każda chwila, którą z panią spędziłem, pozostanie dla mnie słodkim wspomnieniem.

MŁODA MEŻATKA.

Pamięta pan bal przemysłowców?

PANICZ.

Czy pamiętam?... Siedziałem przecież podczas kolacji obok pani, tak blisko. Mąż pani szampana...

MŁODA MEŻATKA (patrzy nań z wyrzutem).

PANICZ.

Mówiłem tylko o szampanie. A możeby pani wypić kieliszek koniaku?

MŁODA MEŻATKA.

Kropelkę, ale przedtem proszę o szklanę wody.

PANICZ.

Dobrze... Gdzie tylko jest — aha.. (Uchyła portjerę i idzie do sypialni).

MŁODA MEŻATKA (patrzy za nim).

PANICZ (wraca z karafką wody i dwiema szklankami).

MŁODA MEŻATKA.

Gdzie pan był?

PANICZ.

W... drugim pokoju. (Nalewa wody do szklanki).

MŁODA MEŻATKA.

Spytam cię o coś! Alfredzie — ale przysięgnij mi, że powiesz prawdę.

PANICZ.

Przysięgam. —

MŁODA MEŻATKA.

Czy była już kiedy w tych pokojach inna kobieta?

PANICZ.

Ależ, Emmo — dwadzieścia lat temu wybudowano ten dom...

MŁODA MEŻATKA.

Pan wie, co myślę, Alfredzie... Z panem!
U pana!

PANICZ.

Ze mną — tutaj — Emmo! — To nieładnie, że pani o czemś podobnem myśleć może.

MŁODA MEŻATKA.

Więc pan... jakże mam... Nie, wolę nie pytać. Lepiej będzie, gdy nie zapytam. Sama jestem temu winna. Wszystko się mści.

PANICZ.

Cóż pani jest? Co takiego? Co się mści?

MŁODA MEŻATKA.

Nie, nie, nie wolno mi oprzytomnieć... Inaczej musiałabym się w ziemię zapaść ze wstydu.

PANICZ (z karafką wody w ręku, potrząsa smutnie głową).
Emmo, gdyby pani wiedziała, jak mnie to boli.

MŁODA MEŻATKA (naléwa sobie kieliszek koniaku).

PANICZ.

Powiem ci coś, Emmo. Jeżeli wstydzisz się, że jesteś tutaj — jeżeli ci jestem obojętnym — jeżeli nie czujesz że jesteś dla mnie największym szczęściem na świecie... w takim razie odejdz lepiej...

MŁODA MEŻATKA.

Zrobię to.

PANICZ (chwytając ją za rękę).

Jeżeli jednak domyślasz się, że bez ciebie nie mogę żyć, że pocałunek, złożony na twojej ręce, znaczy dla mnie więcej, niż wszystkie czułości, kobiet całego świata... Emmo, nie jestem takim, jak inni młodzi ludzie, którzy umieją flirtować — może jestem zbyt naiwny... ja...

MŁODA MEŻATKA.

Jeżeli przecież jesteś takim, jak inni?

PANICZ.

Nie byłabyś tutaj — bo ty nie jesteś taką, jak inne kobiety.

MŁODA MEŻATKA.

Skąd pan to wie?

PANICZ (pociągnął ją do kanapy i usiadł przy niej).
Myślałem dużo o pani. Pani jest nieszczęśliwą.

MŁODA MEŻATKA (ucieszona).

Tak.

PANICZ.

Życie jest tak czcze, tak marne — a wreszcie tak krótkie — tak strasznie krótkie. Jest tylko jedno szczęście... znaleźć osobę, która kocha —

MŁODA MEŻATKA (wkłada do ust kandyzowaną gruszkę, którą wzięła ze stołu).

PANICZ.

Mnie połowę. (Ona podaje mu ją ustami).

MŁODA MEŻATKA (Ujęła ręce panicza, które się chcą za-
błąkać).

Co pan robi, Alfredzie... Tak pan dotrzymuje przyrzeczenia?

PANICZ (połyka gruszkę, potem śmieje).

Życie takie krótkie.

MŁODA MEŻATKA (słabo).

To jeszcze nie jest powodem —

PANICZ (mechanicznie).

Owszem.

MŁODA MEŻATKA (słabiej).

Alfredzie, przyrzekłeś być grzeczny... I tak jest jasno...

PANICZ.

Chodź, chodź, ty jedyna, jedyna... (Podnosi ją z kanapy.)

MŁODA MEŻATKA.

Co pan robi?

PANICZ.

Tam nie jest jasno.

MŁODA MEŻATKA.

Czy tam jest jeszcze jeden pokój?

PANICZ (ciągnie ją za sobą).

Ładny pokój... i całkiem ciemny.

MŁODA MEŻATKA.

Zostańmy lepiej tutaj.

PANICZ (jest już z nią za portjerą w sypialni, odpina jej stanik).

MŁODA MEŻATKA.

Pan jest tak... o Boże, co pan ze mnie robi? — Alfredzie!

PANICZ.

Ubóstwiam cię, Emmo!

MŁODA MEŻATKA.

Poczekaj trochę, poczekaj przynajmniej.. (Słabo).
Idź... zawołam cię.

PANICZ.

Pozwól mi ci — pozwól ci mi (język mu się płacze)...
... po... zwól — mi — ci dopomóż.

MŁODA MEŻATKA.

Ależ drżesz na mnie wszystko.

PANICZ.

Nienosisz gorsetu?

MŁODA MEŻATKA.

Nie noszę nigdy gorsetu. Odilon także nie nosi. Ale bućki możesz mi podpinać.

PANICZ (odpina buciki, całuje jej nogi).

MŁODA MEŻATKA (już w łóżku).

Och! tak mi zimno.

PANICZ.

Zaraz będzie cieplej.

MŁODA MEŻATKA (śmiejąc się cicho).

Tak sądzisz?

PANICZ (niemile dotknięty, do siebie).

Tego nie powinna była powiedzieć. (Rozbiera się po ciemku).

MŁODA MEŻATKA (czule).

Pójdź, pójdź, pójdź!

PANICZ (w lepszym humorze).

Zaraz — —

MŁODA MEŻATKA.

Jak tu pachną fjołki.

PANICZ.

To ty jesteś sama... fjołkiem. Tak (do niej) ty sama.

MŁODA MEŻATKA.

Alfredzie... Alfredzie!!!

PANICZ.

Emmo...

PANICZ.

Zanadto cię kocham... jestem jak nieprzytomny.

MŁODA MEŻATKA...

PANICZ.

Od kilku dni jestem jak oszalały. Przeczuwałem to.

MŁODA MEŻATKA.

Nie rób sobie nic z tego.

PANICZ.

O zapewne. Jestto przecież naturalne, skoro się...

MŁODA MEŻATKA.

Nie... nie... Zdenerwowany jesteś. Uspokój się...

PANICZ.

Czy znasz Stendhala?

MŁODA MEŻATKA.

Stendhala?

PANICZ.

Jego Psychologję miłości.

MŁODA MEŻATKA.

Nie, dlaczego?

PANICZ.

Jest tam nader znamienna historia.

MŁODA MEŻATKA.

Cóż to za historia?

PANICZ.

Jest tam grono oficerów kawalerji —

MŁODA MEŻATKA.

Aha.

PANICZ.

Opowiadają sobie swe przygody miłosne. I każdy z nich opowiada, że mu u kobiety, którą najwięcej, wiesz, najgoręcej kochał... że go ta, że on tę — no, krótko a węzłowato, że mu się u tej kobiety tak powiodło, jak mnie u ciebie.

MŁODA MEŻATKA.

Tak.

PANICZ.

Nie koniec na tem. Jeden tylko twierdzi... że mu to jeszcze się nie zdarzyło, ale — dodaje Stendhal — był to osławiony blagier.

MŁODA MEŻATKA.

Tak.

PANICZ.

A przecież może to człowieka zirytować, w tem tkwi głupota. Właściwie powinno nam to być obojętne.

MŁODA MEŻATKA.

Zapewne. Wogóle... przyrzekłeś mi przecież być grzeczny.

PANICZ.

Nie śmieć się, to nie poprawi sytuacji.

MŁODA MEŻATKA.

Przecież się nie śmieję. Opowiadanie Stendhala jest istotnie zajmujące. Myślałam zawsze, że tylko u starszych... albo u bardzo... no wiesz, u ludzi, którzy za dużo żyli...

PANICZ.

Skądże znowu? Jedno z drugim niema nic wspólnego. Zapomniałem zresztą o najładniejszej historyjce Stendhala. Jest tam mowa o pewnym oficerze kawalerji, który trzy noce czy tam sześć... nie pamiętam, spędził z kobietą, której od wielu tygodni pożądał — desiré — rozumiesz — i te noce, tylko płakali z nadmiaru szczęścia... oboje...

MŁODA MEŻATKA.

Oboje?

PANICZ.

Tak. To cię dziwi? Ja uważam to za naturalne — zwłaszcza gdy się kochali.

MŁODA MEŻATKA.

Ale jest dużo i takich, co nie płaczą.

PANICZ (zdenerwowany).

Zapewne . . . wszak to był wyjątkowy wypadek.

MŁODA MEŻATKA.

Ach — myślałam, że Stendhal powiedział, iż wszyscy oficerowie kawalerji płaczą przy tej sposobności.

PANICZ.

Widzisz, teraz kpisz.

MŁODA MEŻATKA.

Ależ, Alfredzie, skądże? Nie bądźże dzieckiem!

PANICZ.

To denerwuje . . . Mam przytem uczucie, że ty ciągle o tem myślisz. To mnie dopiero razi.

MŁODA MEŻATKA.

Gdzież znowu . . . Wcale nie myślę o tem.

PANICZ.

Ach! tak. Gdybym był pewny, że mnie kochasz.

MŁODA MEŻATKA.

Chcesz więcej dowodów?

PANICZ.

Widzisz . . . kpisz sobie dalej.

MŁODA MEŻATKA.

Jakżeż? Daj mi swoją słodką główkę.

PANICZ.

Ach, jak to błogo.

MŁODA MEŻATKA.

Kochasz mnie?

PANICZ.

Och, taki jestem szczęśliwy.

MŁODA MEŻATKA.

Ale ty nie potrzebujesz płakać także.

PANICZ (odsuwając się od niej w najwyższej irytacji).
Znowu, znowu. A tak cię prosiłem...

MŁODA MEŻATKA.

Jeżeli ci mówię, żebyś nie płakał...

PANICZ.

Powiedziałaś: abym także nie płakał.

MŁODA MEŻATKA.

Zdenerwowany jesteś, mój skarbie.

PANICZ.

Wiem o tem.

MŁODA MEŻATKA.

Nie powinieneś być taki. Nawet mi przyjemniej,
że... żeśmy, że jesteśmy, jak dobrzy koledzy...

PANICZ.

Znów zaczynasz.

MŁODA MEŻATKA.

Nie pamiętasz? Była to jedna z naszych rozmów.
Dobrymi kolegami chcieliśmy być; niczem więcej.
O to było pięknie... u mojej siostry na balu w styczniu,
podczas kadryla... O Boże, miałam już
przecież pójść dawno... siostra czeka — cóż jej
powiem... Bądź zdrow, Alfredzie —

PANICZ.

Emmo! — Tak mnie zostawiasz!

MŁODA MEŻATKA.

Tak! —

PANICZ.

Jeszcze pięć minut...

MŁODA MEŻATKA.

Dobrze. Więc jeszcze pięć minut. Ale musisz mi przyrzec... nie ruszać się wcale?... Dobrze? Jeszcze cię pocałuję na pożegnanie... pst... spokojnie... powiedziałam, nie ruszać się, inaczej wstanę natychmiast, mój słodki... słodki...

PANICZ.

Emmo... moja uwiel...

MŁODA MEŻATKA.

Mój... Alfredzie —

PANICZ.

Ah, raj przy tobie.

MŁODA MEŻATKA.

Teraz muszę naprawdę odejść.

PANICZ.

Niech siostra czeka.

MŁODA MEŻATKA.

Muszę iść do domu. Do siostry już za późno. Która teraz właściwie godzina?

PANICZ.

Hm... jakżeby się dowiedzieć...

MŁODA MEŻATKA.

Popatrzeć na zegarek.

PANICZ.

Zegarek jest w mojej kamizelce.

MŁODA MEŻATKA.

Więc przynieś go.

PANICZ (wstaje z nagłą decyzją).

Ósma.

MŁODA MEŻATKA (podnosi się prędko).

Na miły Bóg... Prędko, Alfredzie podaj mi pończochy. Co tu powiedzieć? W domu pewnie już na mnie czekają... ósma godzina...

PANICZ.

Kiedyż cię znów zobaczę?

MŁODA MEŻATKA.

Nigdy.

PANICZ.

Emmo! Czy mnie już nie kochasz?

MŁODA MEŻATKA.

Właśnie dlatego. Daj mi moje buciki.

PANICZ.

Nigdy? Masz buciki.

MŁODA MEŻATKA.

Zapinacz jest w kieszeni. Proszę cię prędko...

PANICZ.

Oto zapinacz.

MŁODA MEŻATKA.

Alfredzie, możemy to oboje życiem przyplacić.

PANICZ (niemile dotknięty).

Jakto?

MŁODA MEŻATKA.

Cóż powiem, jeżeli zapyta: skąd przychodzisz?

PANICZ.

Od siostry.

MŁODA MEŻATKA.

Żebym to potrafiła klamać.

PANICZ.

Musisz.

MŁODA MEŻATKA.

Wszystko dla takiego człowieka. Ach, pójdź tu... niech cię jeszcze raz pocałuję. (Ściska go). — A teraz — zostaw mnie, idź do tamtego pokoju. Nie mogę się ubierać przy tobie.

PANICZ (idzie do salonu, gdzie się ubiera. Zjada kilka ciastek, wypija kieliszek koniaku).

MŁODA MEŻATKA (woła po chwili).

Alfredzie!

PANICZ.

Co mój skarbie?

MŁODA MEŻATKA.

Przecież lepiej, żeśmy nie płakali, co?

PANICZ (uśmiechając się nie bez dumy).

Jak można być tak swawolną? —

MŁODA MEŻATKA.

Jakże to teraz będzie — jeżeli się kiedyś spotkamy przypadkiem w towarzystwie?

PANICZ.

Kiedyś? — przypadkiem? ... Wszak będziesz jutro u Lobheimerów?

MŁODA MEŻATKA.

Tak. Ty także?

PANICZ.

Naturalnie. Czy mogę cię prosić o kotyljona?

MŁODA MEŻATKA.

Och. Wcale nie przyjdę. Cóż ty sobie myślisz właściwie: — Przecieżbym (wchodzi ubrana do salonu, bierze ciastko czekoladowe) zapadła się w ziemię.

PANICZ.

Więc jutro u Lobheimerów, to ślicznie.

MŁODA MEŻATKA.

Nie, nie... odmówię... z pewnością —

PANICZ.

Więc pojutrze... tutaj.

MŁODA MEŻATKA.

Cóż za pomysł?

PANICZ.

O szóstej...

MŁODA MEŻATKA.

Tu na rogu stoją dorożki, prawda?

PANICZ.

Ile tylko zechcesz. Więc pojutrze tutaj o szóstej godzinie. Powiedzże tak, mój skarbie najdroższy.

MŁODA MEŻATKA.

... Omówimy to jutro przy kotyljonie.

PANICZ (ściska ją).

Mój aniele.

MŁODA MEŻATKA.

Proszę mi fryzury nie popsuć.

PANICZ.

Więc jutro u Lobheimerów a pojutrze w moich objęciach.

MŁODA MEŻATKA.

Bądź zdrow ...

PANICZ (zaniepokoiony nagle).

A cóż ty — j e m u dziś powiesz?

MŁODA MEŻATKA.

Nie pytaj ... nie pytaj ... to okropne. — Czemu cię tak kocham! — Adieu. — Jeżelibym znów kogo spotkała na schodach, to chyba zginę. — Pa! —

PANICZ (całuje jej rękę jeszcze raz).

MŁODA MEŻATKA (odchodzi).

PANICZ (zostaje sam. Siada na kanapie. Uśmiecha się i mówi do siebie).

A więc teraz mam stosunek z uczciwą kobietą.

MŁODA MEŻATKA I MAŻ

Wygodna sypialnia.

Wpół do jedenastej w nocy. Żona leży w łóżku i czyta.
Maż wchodzi właśnie w szlafroku do pokoju.

MŁODA MEŻATKA (nie odrywając oczu od książki).
Nie pracujesz już więcej?

MAŻ.

Nie. Jestem znużony. Oprócz tego...

MŁODA MEŻATKA.

No cóż?

MAŻ.

Uczułem się przy biurku nagle tak samotny.
Zatęskniłem za tobą.

MŁODA MEŻATKA (podnosząc oczy).

Doprawdy ?

MAŻ (siada na jej łóżku).

Nie czytaj dziś więcej. Psujesz sobie oczy.

MŁODA MEŻATKA (zamyka książkę).

Co ci jest?

MAŻ.

Nic, moje dziecko. Kocham cię. Wiesz przecież o tem.

MŁODA MEŻATKA.

Możnaby czasem o tem zapomnieć.

MAŻ.

Czasem m u s i się nawet o tem zapomnieć.

MŁODA MEŻATKA.

Dlaczego?

MAŻ.

Bo w przeciwnym razie byłoby małżeństwo czemś niedoskonałym. Ono... jakże mam powiedzieć... straciłoby na swej świętości.

MŁODA MEŻATKA.

Och...

MAŻ.

Wierzaj mi — że tak jest... Gdybyśmy w tych pięciu latach, któreśmy razem przeżyli, nie zapominali czasem, że jesteśmy w sobie zakochani — nie byłibyśmy nimi więcej.

MŁODA MEŻATKA.

To za mądre dla mnie.

MAŻ.

Prostu... tak: mieliśmy już ze sobą z jakich dziesięć albo dwanaście miłosnych stosunków... Czy nie tak?

MŁODA MEŻATKA.

Nie liczyłam! —

MAŻ.

Gdybyśmy zaraz pierwszy wyczerpali do dna, gdybym zaraz z początku oddał się całej swej namiętności, stałoby się z nami to, co z milionem innych zakochanych par. Nie mielibyśmy sobie nic więcej do powiedzenia.

MŁODA MEŻATKA.

Ach... ty to tak rozumiesz?

MAŻ.

Wierzaj mi — Emmo — obawiałem się tego bardzo w pierwszych dniach naszego pożycia.

MŁODA MEŻATKA.

Ja także.

MAŻ.

Widzisz? Czy nie miałem słuszności? Dlatego dobrze jest żyć z sobą jakiś czas w przyjaźni.

MŁODA MEŻATKA.

Ach tak.

MAŻ.

W ten sposób przeżywamy coraz to nowe miodowe tygodnie, gdyż nie pozwalam nigdy, aby miodowe tygodnie...

MŁODA MEŻATKA.

Wydłużyły się w miesiące.

MAŻ.

Tak jest.

MŁODA MEŻATKA.

A teraz... zdaje się, że znów mija jeden z okresów przyjaźni? —

MAŻ (tuląc ją czule).

Tak się zdaje.

MŁODA MEŻATKA.

Gdyby jednak... u mnie było inaczej —

MAŻ.

I u ciebie nie jest inaczej. Wszak jesteś najmądrzejszą i najrozkoszniejszą istotą na świecie. Jestem bardzo szczęśliwy, że cię znalazł.

MŁODA MEŻATKA.

Jak ty pięknie umiesz nadskakiwać — od czasu do czasu.

MAŻ (położył się również do łóżka).

Dla mężczyzny, który się nieco rozejrzył po świecie . . . połóż mi głowę na ramię — który rozejrzył się po świecie małżeństwo jest czemś bardziej tajemniczem niż dla was, młodych dziewcząt z dobrego domu. Wy stajecie przed nami czyste i . . . do pewnego stopnia nieświadome i dlatego właściwie macie o wiele jaśniejszy pogląd na istotę miłości, niż my.

MŁODA MEŻATKA (śmieje się).

O!

MAŻ.

Z pewnością. My bowiem straciliśmy pewność siebie przez rozliczne przygody, któreśmy chcąc nie chcąc przebywali przed ślubem. Wy dużo słyszycie, za dużo wiecie i czytacie za dużo, a mimo to nie macie prawdziwego wyobrażenia o tem, co my mężczyźni faktycznie przeżywamy. To, co nazywają zwykle miłością, obrzydziło się nam gruntownie; bo cóż to za stworzenia, na które jesteśmy skazani!

MŁODA MEŻATKA.

Tak, cóż to za stworzenia?

MAŻ (całuje ją w czoło).

Bądź zadowolona moje dziecko, żeś nie wglądnęła nigdy w te sprawy. Są to zresztą istoty pożałowania godne — nie rzucajmy na nie kamieniem.

MŁODA MEŻATKA.

Proszę cię, ta litość wydaje mi się wcale nie na miejscu.

MAŻ (ze szlachetną pobłażliwością).

Zasługują na nią. Wy, dziewczęta z dobrych domów, które spokojnie pod opieką rodziców czekałyście na męża, nie znacie nędzy, która większą część tych biednych istot rzuca w objęcia hańby.

MŁODA MEŻATKA.

Czyż one się wszystkie sprzedają?

MAŻ.

Tegobym nie twierdził. Nie mówię jedynie o nędzy materialnej. Jest jeszcze — powiedziałbym — nędza moralna; błędne pojęcia o tem, co dozwolone, a zwłaszcza o tem, co szlachetne.

MŁODA MEŻATKA.

Ale dlaczegoż miałyby one być pożałowania godne? Wszak im się dość dobrze wiedzie?

MAŻ.

Masz dziwne poglądy, moje dziecko. Nie zapominaj, że sama natura każe takim istotom coraz niżej upadać. Tu niema hamulca.

MŁODA MEŻATKA (tuląc się do niego).

Widocznie upada się wcale przyjemnie.

MAŻ (przykro dotknięty).

Jak możesz tak mówić, Emmo. Sądzę, że właśnie dla was, kobiet uczciwych, nie ma nic wstrętniejszego nad istoty, co swą uczciwość zatraciły.

MŁODA MEŻATKA.

Naturalnie, Karolu, naturalnie. Powiedziałam to tak sobie. Mów dalej. Tak ładnie, mówisz. Opowiedz mi coś.

MAŻ.

Cóż takiego? —

MŁODA MEŻATKA.

No, — o tych stworzeniach.

MAŻ.

Cóż ci też na myśl przyszło.

MŁODA MEŻATKA.

Widzisz, dawno już, zaraz na początku prosiłam cię, żebyś mi coś opowiedział o swojej młodości.

MAŻ.

Cóż cię to tak bardzo zajmuje?

MŁODA MEŻATKA.

Czyż nie jesteś moim mężem? I czy nie jest to poniekąd niesprawiedliwym, że nie znam wcale twej przeszłości?

MAŻ.

Nie sądzisz przecież, abym nie miał na tyle smaku... abym — dość tego Emmo... byłaby to jakby profanacja...

MŁODA MEŻATKA.

A przecież... kto wie, ile kobiet trzymałeś w twych objęciach tak samo jak mnie teraz.

MAŻ.

Nie mówże „kobiet“. Kobieta jesteś ty.

MŁODA MEŻATKA.

Na jedno pytanie musisz mi odpowiedzieć... bo... bo... nic z miodowych tygodni.

MAŻ.

Dziwne rzeczy pleciesz... pamiętaj o tem, żeś matką... że nasza córeczka tam śpi...

MŁODA MEŻATKA (tuląc się do niego).

Chciałabym i chłopca.

MAŻ.

Emmo!

MŁODA MEŻATKA.

Nie bądźże takim... Pewnie, jestem twoją żoną... ale chciałabym także być trochę... twoją kochanką.

MAŻ.

Chciałabyś?...

MŁODA MEŻATKA.

Przedewszystkiem jednak, odpowiedz mi...

MAŻ (ulegając).

Słucham.

MŁODA MEŻATKA.

Czy... między nimi — była mężatka?

MAŻ.

Jakto? — jak to rozumiesz?

MŁODA MEŻATKA.

Ty już wiesz.

MAŻ (lekko zaniepokojony).

Skąd to pytanie?

MŁODA MEŻATKA.

Chciałabym wiedzieć, czy... to znaczy — że takie kobiety istnieją... to wiem. Ale czy ty...

MAŻ (poważnie).

Czy znasz taką kobietę?

MŁODA MEŻATKA.

Sama nie wiem.

MAŻ.

Może pomiędzy twojemi przyjaciółkami jest taka mężatka?

MŁODA MEŻATKA.

Trudno mi na pewno twierdzić — lub przeczyć?

MAŻ.

Czy może ci kiedyś która z twych przyjaciółek... mówi się o różnych rzeczach, jeżeli — kobiety między sobą — czy ci która wyznała? —

MŁODA MEŻATKA (niepewnym głosem).

Nie.

MAŻ.

Czy może podejrzewasz którą z przyjaciółek, że...

MŁODA MEŻATKA.

Podejrzewać... o... podejrzewać...

MAŻ.

Zdaje się.

MŁODA MEŻATKA.

Ależ nie, Karolu, z pewnością nie. Gdy się tak zastanowię — nie podejrzewam żadnej.

MAŻ.

Żadnej?

MŁODA MEŻATKA.

Z moich przyjaciółek żadnej.

MAŻ.

Przyrzeknij mi coś, Emmo.

MŁODA MEŻATKA.

Co takiego?

MAŻ.

Że nie będziesz nigdy przestawała z kobietą, na którą pada bodaj cień podejrzenia, że... nie całkiem dobrze się prowadzi.

MŁODA MEŻATKA.

Czyż muszę ci to aż przyrzekać?

MAŻ.

Wiem, że przyjaźni takich kobiet szukać nie będziesz. Ale mogłoby się zdarzyć, że ty... Tak, dość często zdarza się, że właśnie takie kobiety, które nie cieszą się najlepszą opinią, szukają towarzystwa kobiet uczciwych, bądź to dla pozorów, bądź też z pewnej... jakże mam się wyrazić... z pewnej tęsknoty za uczciwością.

MŁODA MEŻATKA.

Tak.

MAŻ.

Tak. Zdaje mi się, że to, co powiedziałem, jest bardzo trafne. Z tęsknoty za uczciwością. Bo, że kobiety te są właściwie bardzo nieszczęśliwe, możesz mi wierzyć.

MŁODA MEŻATKA.

Dlaczego?

MAŻ.

Pytasz, Emmo? — Jak możesz pytać? Wyobraź sobie, jakie to życie tych kobiet! Pełne kłamstwa, podłości, brudu i niebezpieczeństw.

MŁODA MEŻATKA.

Tak, masz słuszność.

MAŻ.

Naprawdę — oplacają tę odrobinę szczęścia... tę odrobinę...

MŁODA MEŻATKA.

Przyjemności.

MAŻ.

Dlaczego przyjemności? Dlaczego nazywasz to przyjemnością?

MŁODA MEŻATKA.

Hm — coś w tem przecież być musi! — Inaczej by tego nie robiły.

MAŻ.

Nic w tem niema ... Szał.

MŁODA MEŻATKA (zamyślona).

Szał.

MAŻ.

Nie to nawet nie szal. Czemkolwiek to jest, — jest drogo opłacone, to pewna!

MŁODA MEŻATKA.

Więc ... tyś już to przeżył — nieprawdaż?

MAŻ.

Tak jest, Emmo. — To moje najsmutniejsze wspomnienie.

MŁODA MEŻATKA.

Któż to taki? Powiedz! Czy ją znam?

MAŻ.

Cóż ci na myśl przyszło?

MŁODA MEŻATKA.

Czy to już dawno? Czy bardzo dawno, zanim się pobraliśmy?

MAŻ.

Nie pytaj. Proszę cię, nie pytaj.

MŁODA MEŻATKA.

Ależ Karolu!

MAŻ.

Ona nie żyje.

MŁODA MEŻATKA.

Doprawdy?

MAŻ.

Tak jest . . . Może to śmiesznie brzmi, ale mam wrażenie, że wszystkie te kobiety młodo umierają.

MŁODA MEŻATKA.

Czy ją bardzo kochałeś?

MAŻ.

Wiarołomnych kobiet się nie kocha.

MŁODA MEŻATKA.

Czemuż więc . . .

MAŻ.

Chwila szału . . .

MŁODA MEŻATKA.

Więc przecież?

MAŻ.

Proszę cię, nie mówmy więcej o tem. To wszystko już minęło. Kochałem tylko jedną — ty nią jesteś. Kocha się tylko to, co jest czyste i prawdziwe.

MŁODA MEŻATKA.

Karolu!

MAŻ.

Och, jak pewnie, jak błogo czuje się człowiek w takich objęciach. Czemuż cię dzieckiem nie znałem? Zdaje mi się, że wówczas na inne kobiety wcalebym nie patrzył.

MŁODA MEŻATKA.

Karolu!

MAŻ.

I piękną jesteś! ... piękną! ... o pójdz! ... (gasł światło).

MŁODA MEŻATKA.

Czy wiesz, o czym teraz myślę?

MAŻ.

O czym, mój skarbie?

MŁODA MEŻATKA.

... O Wenecji.

MAŻ.

O pierwszej nocy ...

MŁODA MEŻATKA.

Tak ... tak ...

MAŻ.

Cóż więc? Powiedz mi!

MŁODA MEŻATKA.

Taksamo mię dziś kochasz.

MAŻ.

Taksamo kocham.

MŁODA MEŻATKA.

Ach ... Gdybyś ty zawsze ...

MAŻ (w jej objęciach).

Co?

MŁODA MEŻATKA.

Karolu.

MAŻ.

Co to znaczy? Gdybym zawsze ...

MŁODA MEŻATKA.

No tak.

MAŻ.

Cóżby więc było, gdybym zawsze? . . .

MŁODA MEŻATKA.

Wówczas wiedziałabym zawsze, że mnie kochasz.

MAŻ.

Tak jest. Ale i bez tego możesz być tego pewna. Nie zawsze można być kochającym mężem, nieraz trzeba się rzucić w wir wrogiego życia, trzeba walczyć i dążyć naprzód! Nie zapominaj o tem moje dziecko! W małżeństwie wszystko ma swój czas — na tem właśnie polega piękno. Nie wielu takich, którzy jeszcze po pięciu latach — wspominają swą Wenecję.

MŁODA MEŻATKA.

Zapewne.

MAŻ.

A teraz . . . dobranoc, moje dziecko.

MŁODA MEŻATKA.

Dobranoc!

MAŻ I SŁODKA DZIEWCZYNA

Seperatka w restauracji „Riedhof“. Miła, pełna prostoty elegancja. W piecu gazowym się pali. Mąż. Słodka dziewczyna. Na stole widać resztki kolacji, ciastka z kremem, owoce, ser. W kieliszkach białe węgierskie wino.

MAŻ (pali hawanę, opierając się o róg kanapy).

SŁODKA DZIEWCZYNA (siedzi obok niego na krześle i wybiera łyżeczką krem z ciastka, który wypija z widoczną przyjemnością).

MAŻ.

Smakuje?

SŁODKA DZIEWCZYNA (nie przerywa sobie).

O!

MAŻ.

Chcesz jeszcze?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, i tak już jadłam za dużo.

MAŻ.

Nie masz już wina. (Nalewa wino do kieliszka).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie... Ale patrz pan, ja i tak nie piję.

MAŻ.

Znów mówisz mi „pan“.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak? — Wie pan, to tak trudno się przyzwyczać.

MAŻ.

Wiesz: t y.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co takiego?

MAŻ.

Wiesz t y, powinnaś mi mówić; nie wiesz p a n...
Przysiadź się do mnie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Zaraz... jeszcze nie gotowa.

MAŻ (podnosi się, staje za krzesłem i ściska ją, odchylając jej głowę ku sobie).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

No cóż takiego?

MAŻ.

Chciałbym dostać całusa.

SŁODKA DZIEWCZYNA (całuje go).

Pan jesteś... o, przepraszam, jesteś zuchwałym człowiekiem.

MAŻ.

Dopiero teraz przychodził ci to na myśl?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ale gdzież tam, już dawniej... na ulicy. — Pan pewnie —

MAŻ.

Ty pewnie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ty pewnie ładne masz o mnie wyobrażenie.

MAŻ.

Dlaczego?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Bo poszłam zaraz z panem do separatki.

MAŻ.

No, z a r a z nie można powiedzieć.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ale pan tak ładnie umie prosić.

MAŻ.

Tak sądzisz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A zresztą, cóż w tem złego?

MAŻ.

Naturalnie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czy się idzie na spacer, czy —

MAŻ.

Na spacer, teraz za zimno.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie, że za zimno.

MAŻ.

A tu tak ciepło, co? (Siada, obejmuje dziewczynę i przy-
ciąga ją ku sobie).

SŁODKA DZIEWCZYNA (słabo).

No.

MAŻ.

Powiedz teraz... Czyś mnie już przedtem zauwa-
żyła, co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A jakże. Już na Singerstrasse.

MAŻ.

Nie mówię o dzisiejszem spotkaniu. Ale przedwczoraj i onegdaj, gdy za tobą chodziłem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Za mną wielu chodzi.

MAŻ.

Pewnie. Ale czyś mnie zauważyła?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Wie pan... aha... wiesz, co mi się niedawno zdarzyło? Mąż mojej kuzynki szedł za mną pociemku i nie poznał mnie.

MAŻ.

Zaczepił cię?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Cóż znowu? Myślisz może, że każdy taki zuchwały, jak ty?

MAŻ.

Ale i to się zdarza.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie, że się zdarza.

MAŻ.

No, cóż wtedy robisz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A cóż, nic — nie odpowiadam wcale.

MAŻ.

Hm... Mnie jednak odpowiedziałś.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czy pan się może gniewa?

MAŻ (całuje ją gwałtownie).

Usta twoje mają smak kremu.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

E, one są już takie z natury słodkie.

MAŻ.

Ilu ci to już powiedziało?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Wielu!! Nie wmawiaj sobie!

MAŻ.

Powiedz choć raz prawdę. Ilu już całowało te usta?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Poco pytasz? I takbyś nie uwierzył, gdybym ci powiedziała!

MAŻ.

Dlaczegożby nie?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Zgadnij.

MAŻ.

Więc powiedziałbym... dwudziestu.

SŁODKA DZIEWCZYNA (wyrывая się z jego objęć).

Czemu nie stu odrazu?

MAŻ.

Powiedziałem tylko na chybił trafił.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie zgadłeś.

MAŻ.

Więc dziesięciu.

SŁODKA DZIEWCZYNA (urazona).

Doprawdy, dziewczyna, która pozwala się na ulicy zaczepiać i zaraz idzie do separatki...

MAŻ.

Nie bądź dzieckiem. Czy się chodzi po ulicy, czy się jest w pokoju... Jesteśmy tu przecież w restauracji. Każdej chwili może nadejść kelner — to przecież nic złego...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak i ja myślę.

MAŻ.

Byłaś już kiedy w separatce?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jeżeli mam prawdę powiedzieć: tak.

MAŻ.

Widzisz, podoba mi się, żeś taka szczerą.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ale nie tak — jak ty myślisz. Byłam raz z moją przyjaciółką i z jej narzeczoną w separatce, tego roku w karnawale.

MAŻ.

Nie byłoby nieszczęścia, gdybyś tak raz — z kochankiem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie, nie byłoby nieszczęścia. Ale ja nie mam kochanka.

MAŻ.

To być nie może.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dalibóg, nie mam.

MAŻ.

Nie w mówisz mi przecież, że ja...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co takiego? ... Nie mam żadnego — już przeszło od pół roku.

MAŻ.

Ach tak ... Ale przedtem? Któż to był?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czego pan taki ciekawy?

MAŻ.

Ciekawym, bo cię kocham.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Naprawdę?

MAŻ.

Naprawdę. Widzisz przecież. Opowiedz-że mi więc. (Przyciska ją mocno do siebie).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co ci mam opowiedzieć?

MAŻ.

Nie dajże się prosić. Chciałbym wiedzieć, kto to był?

SŁODKA DZIEWCZYNA (ze śmiechem).

No, mężczyzna.

MAŻ.

Więc — więc — któż to był?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Był trochę do ciebie podobny.

MAŻ.

Tak.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Gdybyś nie był tak podobnym do niego —

MAŻ.

W takim razie ...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie pytaj tyle, widzisz przecie, że ...

MAŻ (ze zrozumieniem).

Dlatego więc pozwoliłaś się zagadnąć.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak sobie.

MAŻ.

Teraz doprawdy nie wiem, czy się mam cieszyć, czy gniewać.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jabym na twojem miejscu się cieszyła.

MAŻ.

Tak.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

I takisam masz sposób mówienia ... i tak samo patrzysz ...

MAŻ.

Czemże on był?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ach te oczy —

MAŻ.

Jakże się nazywał?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie patrz tak na mnie, proszę cię.

MAŻ (ściska ją. Długi, gorący pocałunek).

SŁODKA DZIEWCZYNA (otrząsa się, chce wstać).

MAŻ.

Czemu uciekasz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czas mi do domu.

MAŻ.

Później.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, muszę naprawdę już pójść do domu. Cóż ty myślisz, co na to powie mama?

MAŻ.

Mieszkasz u matki?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Naturalnie, że u matki. A tyś co myślał?

MAŻ.

Więc u matki. Czy mieszkacie same?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Gdzie tam same. Jest nas pięcioro. Dwóch chłopców i oprócz mnie dwie dziewczyny.

MAŻ.

Czemu siadłaś tak daleko odemnie? Czyś ty najstarsza?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, jestem druga. Najstarsza, Kasia, jest w handlu kwiatów, potem ja.

MAŻ.

A ty gdzie jesteś?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Siedzę w domu.

MAŻ.

Zawsze?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jedna przecież musi być w domu.

MAŻ.

Zapewne... A co mówisz właściwie matce, jeżeli — tak późno do domu wracasz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

To się bardzo rzadko zdarza.

MAŻ.

Naprzykład dziś. Czy cię matka zapyta?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie, że zapyta. Żebym nie wiem jak ostrożnie stapała — jak przyjdę do domu, zaraz się budzi.

MAŻ.

Cóż jej więc powiesz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Że byłam w teatrze.

MAŻ.

Uwierzy?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czego by nie miała wierzyć? Chodzę często do teatru. W niedzielę dopiero byłam w operze z moją przyjaciółką i z jej narzeczonym i z moim starszym bratem.

MAŻ.

Skądże macie bilety?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Mój brat jest fryzjerem.

MAŻ.

Aha, ci fryzjerzy... prawdopodobnie fryzjer teatralny.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czego mnie tak wypytujesz?

MAŻ.

Bo mnie to zajmuje. A czym jest twój starszy brat?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Starszy chodzi jeszcze do szkoły. Chce zostać nauczycielem. Ale poco te wszystkie pytania?

MAŻ.

Masz jeszcze małą siostrzyczkę?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

O, to jeszcze dzieciak, ale trzeba na nią już dobrze uważać. Nie masz pojęcia, jak się te dziewczęta w szkole psują. Nie uwierzyłbyś. Niedawno zła-pałam ją na schadzce.

MAŻ.

Co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak, tak. Spacerowała sobie z chłopakiem ze szkoły z przeciwka o wpół do ósmej wieczorem na Strozzigasse. Taki smarkacz!

MAŻ.

I cóżeś zrobiła?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dostała w skórę.

MAŻ.

Takaś surowa?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Muszę taką być. Najstarsza jest w interesie, matka nic nie robi tylko zrzedzi; — wszystko na mnie spada.

MAŻ.

Mój Boże, jakaś ty milutka! (Całuje ją, czulej).
Ty mi także kogoś przypominasz.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak — kogo?

MAŻ.

Nikogo ... czasy ... mojej młodości. Pij, moje dziecko!

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Słuchaj, ile masz lat? ... Ty ... no tak ... przecie nie wiem nawet, jak się nazywasz.

MAŻ.

Karol.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie może być! Nazywasz się Karol?

MAŻ.

On także się nazywał Karol?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ależ to istny cud ... to przecież ... ach te oczy ...
To spojrzeńcie ... (Potrzasa głową).

MAŻ.

Ale kimże on był — tegoś mi jeszcze nie powiedziała.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Był niedobrym człowiekiem — to pewna, inny by mnie nie opuścił.

MAŻ.

Bardzoś go lubiła?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie, żem go lubiła.

MAŻ.

Już wiem, czem był, oficerem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, nie służył w wojsku. Nie wzięli go. Jego ojciec ma dom na... ale co ciebie to wszystko obchodzi?

MAŻ (całuje ją).

Ty masz właściwie bure oczy, z początku zdawało mi się, że czarne.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czy ci się nie podobają?

MAŻ (całuje jej oczy).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, nie — nie chcę... ach, proszę cię — ach Boże... Pozwól mi wstać... na chwilę tylko proszę cię.

MAŻ (coraz czulej).

O nie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Proszę cię, Karolu...

MAŻ.

Ile masz lat — ośmnaście, co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Skończyłam dziewiętnaście.

MAŻ.

Dziewiętnaście ... a ja —

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ty masz trzydzieści ...

MAŻ.

I kilka. — Nie mówmy o tem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

On także miał trzydzieści dwa, jakem go poznała.

MAŻ.

Bardzo dawno?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie pamiętam ... Słuchaj, w tem winie musiało coś być.

MAŻ.

Dlaczego?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jestem całkiem ... wiesz, wszystko się zemną kręci.

MAŻ.

Trzymaj się mnie mocno. Tak ... (Przyciska ją do siebie, staje się coraz czulszym, ona mu się słabo broni). Powiem ci coś, mój skarbie, moglibyśmy już naprawdę pójść do domu.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak ... do domu.

MAŻ.

Właściwie nie do domu...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Cóż ty sobie myślisz? ... o nie, nie, nie pójdę nigdzie, coż ci do głowy przychodzi?

MAŻ.

Posłuchaj mnie, moje dziecko, na drugi raz, jak się zjedziemy; wiesz, urządzimy się tak, że ... (zsuwa się na ziemię, z głową na jej łonie). Jak tu dobrze, ach, jak tu dobrze.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co ty robisz? (Całuje jego włosy). Słuchaj, w tym winie musiało coś być — takam śpiąca... słuchaj, co będzie, jak nie potrafię wstać? Ależ Karolu... jakby ktoś wszedł... proszę cię... kelner.

MAŻ.

Tutaj... nigdy... żaden kelner... nie wejdzie...

SŁODKA DZIEWCZYNA (opiera się z przymkniętymi oczyma o róg kanapy).

MAŻ (przechadza się po pokoju, zapalwszy papierosa).
Dłuższe milczenie.

MAŻ (wpatrując się długo w dziewczynę, do siebie)

Kto wie, co to za jedna — do licha... tak prędko... Nie bardzo to ostrożnie z mego strony... Hm...

SŁODKA DZIEWCZYNA (nie otwierając oczu).

W tym winie musiało coś być.

MAŻ.

Dlaczego?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Bo...

MAŻ.

Dlaczego zwalasz wszystko na wino?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Gdzieś ty? Dlaczegoś tak daleko? Przysiadź się do mnie.

MAŻ (podchodzi ku niej, śląda).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Powiedz mi, czy mnie naprawdę kochasz.

MAŻ.

Wiesz przecież... (Przerywa pędko.) Naturalnie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Słuchaj... to przecież... powiedz mi prawdę, co było w winie?

MAŻ.

Czy myślisz może, że... jestem trucicielem?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Słuchaj, ja tego nie rozumiem. Nie jestem przecie taką... Znamy się dopiero od... Słuchaj, ja nie jestem taką... Na Boga świętego — gdybyś ty miał o mnie takie wyobrażenie. —

MAŻ.

Martwisz się niepotrzebnie. Ja nic złego o tobie nie myślę. Myślę, że mnie kochasz.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak...

MAŻ.

Jeżeli dwoje młodych ludzi siedzi sam na sam w pokoju, je kolację i pije wino... nie potrzebuje nic być w winie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ja też tylko tak powiedziałam.

MAŻ.

Dlaczego?

SŁODKA DZIEWCZYNA (z pewnym uporem).

Wstydzłam się.

MAŻ.

To śmieszne. Nie masz powodu. Tembardziej, że ci przypominam twego pierwszego kochanka.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak.

MAŻ.

Pierwszego.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

No tak...

MAŻ.

Teraz radbym jednak wiedzieć, kto byli ci drudzy.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nikt.

MAŻ.

To nieprawda, to nie może być.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Proszę cię, nie dokuczaj mnie.

MAŻ.

Zapalisz papierosa?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie, dziękuję.

MAŻ.

A wiesz ty, która godzina?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

No?

MAŻ.

Dwunasta dochodzi.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak!

MAŻ.

No... a cóż na to matka? Ona do tego przyzwyczajona, co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czy już naprawdę chcesz się mnie pozbyć?

MAŻ.

Ty, przecie wpierw sama...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tyś teraz całkiem inny. Cóż się stało?

MAŻ.

Ależ dziecko, co ci na myśl przychodzi?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tylko dzięki twoim oczom o mój Boże... Inaczej długobys... Już mnie niejeden prosił, żebym do separatki.

MAŻ.

No, gdybyś chciała... przyjść znowu ze mną tutaj... lub gdzieindziej —

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie wiem.

MAŻ.

Co to ma znaczyć: nie wiem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jeszcze pytasz?

MAŻ.

Kiedyż więc? Wprzód muszę ci wytłumaczyć, że nie mieszkam we Wiedniu. Przyjeżdżam tylko od czasu do czasu na kilka dni.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jakto, toś ty nie Wiedeńczyk?

MAŻ.

Wiedeńczykiem jestem, ale mieszkam teraz w okolicy...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Gdzie?

MAŻ.

Mój Boże, przecież ci to wszystko jedno.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie bój się, ja tam nie zajdę.

MAŻ.

Mój Boże, jeżeli ci to sprawi przyjemność, możesz przyjechać. Mieszkam w Gracu.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Serjo?

MAŻ.

Tak, cóż w tem dziwnego?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tyś żonaty, co?

MAŻ (zdumiony).

Cóż ci się znów majaczy?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Zdawało mi się.

MAŻ.

A toby ci nie przeszkadzało?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Wolałabym, żebyś był kawalerem. Aleś ty przecież żonaty!

MAŻ.

Powiedz mi, skąd ta myśl?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jeżeli ktoś mówi, że nie mieszka we Wiedniu i nie zawsze ma czas —

MAŻ.

Przecież to nie takie nieprawdopodobne.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie wierzę.

MAŻ.

I nie miałabyś wyrzutów sumienia, że uwodzisz żonatego człowieka?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

E co tam! twoja żona pewnie to samo robi, co i ty.

MAŻ (oburzony).

Słuchaj, wypraszam sobie coś podobnego! Takie uwagi —

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Myślałam, żeś kawaler.

MAŻ.

Czy jestem żonaty, czy nie — to takich uwag się nie robi.

(Wstaje).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Karolu, Karolu, co tobie? Gniewasz się? Ja do-
prawdy nie wiedziałam, żeś żonaty. Mówiłam, ot
tak sobie. No, chodź, nie gniewaj się.

MAŻ (po chwili przychodzi do niej).
Dziwne stworzenia z was... koblet.

(Staje się dla niej znów czułym.)

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Daj spokój... już tak późno. —

MAŻ.

Posłuchaj więc. Mówmy poważnie. Radbym cię
częściej widywać.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Doprawdy?

MAŻ.

Ale do tego jest koniecznem... musiałbym do ciebie
mieć zaufanie. Nie mogę cię przecież pilnować.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ja już sama siebie pilnuję.

MAŻ.

Jesteś... nie można twierdzić, niedoświadczoną, ale
młodą — a mężczyźni są zazwyczaj bardzo nie-
sumienni.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Oj! oj!

MAŻ.

Myślę nietylko pod względem moralności. Rozu-
miesz mnie przecież.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Słuchaj, co ty właściwie o mnie sądzisz?

MAŻ.

Więc — jeżeli mnie chcesz kochać — tylko mnie — możemy już to sobie urządzić — jakkolwiek zwykle mieszkam w Gracu. Tutaj, gdzie każdej chwili ktoś wejść może, nie jest przecież tak, jak być powinno.

SŁODKA DZIEWCZYNA (tuli się do niego).

MAŻ.

Na przyszły raz spotkamy się gdzieindziej, co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dobrze.

MAŻ.

Gdzie nam nikt nie przeszkodzi.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dobrze.

MAŻ (obejmuje ją czule).

Wszystko inne omówimy w dorożce; (Wstaje, otwiera drzwi). Carson... płacić!

SŁODKA DZIEWCZYNA I POETA

Mały pokój, wygodnie urządzone z gustem. Firanki, które porażają pokój w półcień. Czerwone story. Duże biurko, na niem porzucane książki i papiery. Przy ścianie pianino.

Słodka dziewczyna. Poeta.
Wchodzą właśnie razem. Poeta zamyka drzwi.

POETA.

Tak mój skarbie (całuje ją).

SŁODKA DZIEWCZYNA (w kapeluszu i okryciu).

A, jak tu ślicznie! Tylko nic nie widać!

POETA.

Twoje oczy muszą się trochę przyzwyczać do zmroku. Te słodkie oczęta (całuje jej oczy).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Do tego jednak nie będą miały te słodkie oczęta czasu.

POETA.

Zdejm kapelusz, dobrze?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Na jedną minutę?

POETA (wyjmuje szpilkę z jej kapelusza i kładzie go na bok).
A okrycie —

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co robisz? Przecież odchodzę zaraz.

POETA.

Musisz przecież wypocząć! Chodziliśmy ze trzy godziny.

SŁODKA DZIEWCZYNA

Jechaliśmy.

POETA.

Do domu, tak — ale w Weindling chodziliśmy nad rzeką całe trzy godziny. Usiądź więc, moja mała... gdzie ci się podoba; — tu przy biurku; — nie, tu niewygodnie. Usiądź na kanapie. Tak (sadza ją). Jeżeliś bardzo zmęczona, możesz się położyć. Tak. (Kładzie ją na kanapie.) Główkę połóż na poduszkę.

SŁODKA DZIEWCZYNA (śmiejąc się).

Ależ wcale nie jestem zmęczona.

POETA.

Tak ci się zdaje. Tak — a jeżeli jesteś śpiąca, możesz usnąć. Będę całkiem cicho siedział. Mogę ci zresztą zagrać kołysankę... moją.. (Idzie do pianina).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Twoją?

POETA.

Tak.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A ja myślałam, że ty doktor.

POETA.

Jakto? Powiedziałem ci przecież, że literat.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Wszyscy literaci są przecie doktorami.

POETA.

Nie, nie wszyscy. Ja naprzykład nie jestem. Skąd że ten pomysł?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

No, doś powiedział, że to, co chcesz zagrać, sam napisałeś.

POETA.

A może i nie. Zresztą to wszystko jedno. Co? Wogóle to zawsze wszystko jedno, czyj jest jakiś utwór. Byleby był ładny. Czy nie?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pewnie . . . aby był ładny — to grunt.

POETA.

A wiesz ty, co przez to chciałem powiedzieć?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co takiego?

POETA.

No, to o czym właśnie mówiłem.

SŁODKA DZIEWCZYNA (na pół śpiąca).

Pewnie.

POETA (wstaje, idzie do niej, głaszcząc jej włosy).

Nie zrozumiałaś ani słowa.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Przecież znów nie taka jestem głupia.

POETA.

Pewnie żeś głupia. Ale dlatego właśnie cię Kocham. To tak ładnie, jeśli jesteście głupie. Mam na myśli takie, jak ty.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czego ty mnie obrażasz?

POETA.

Prawda, aniołku, że . . . leży się przyjemnie na miękim, perskim dywanie?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Prawda. Czy nie zagrasz co na fortepianie?

POETA.

Nie, wolę siedzieć przy tobie. (Głaszcze ją.)

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A możeby lepiej zapalić światło?

POETA.

O nie... Ten mrok taki przyjemny. Przecież nurza-
liśmy się przez cały dzień w promieniach słońca.
Teraz wyszliśmy jakby z kąpieli i otulamy... się
mrokiem, niby płaszczem kąpielowym (śmieje się). Nie,
muszę to inaczej powiedzieć...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie wiem.

POETA (odsuwając się nieco od niej).

Co za boska głupota! (Wyjmuje notesik i pisze kilka słów.)

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co ty robisz? (Obracając się ku niemu.) Co ty piszesz?

POETA (po cichu).

Słońce, kąpiel, mrok, płaszcz... tak... (chowa notatkę,
głośno). Nic... Powiedz mi teraz, mój skarbie, może
zjadłabyś co lub wypić?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Pragnienia właściwie nie mam. Ale apetyt...

POETA.

Hm... wolałbym, gdybyś miała pragnienie. Koniak
mam w domu, ale po jedzeniu musiałbym dopiero
pójść.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie mógłbyś posłać kogo?

POETA.

To trudno, mojej posługaczki teraz już nie ma —
poczekaj — sam pójdę... cóżbyś zjadła?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ależ nie warto, muszę i tak do domu.

POETA.

Moje dziecko, o tem niema mowy. Powiem ci jednak
coś: gdy stąd wyjdziemy, pójdziemy gdzieś razem
na kolację.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie. Na to nie mam czasu. A zresztą dokąd byśmy
poszli? Mógłby nas przecież ktoś ze znajomych
zobaczyć.

POETA.

Czy masz tyle znajomych?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Niechby jeden zobaczył a nieszczęście gotowe.

POETA.

Co za nieszczęście?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co myślisz, gdyby tak matka się dowiedziała?

POETA.

Możemy przecież gdzieś pójść, gdzie nas nikt nie
zobaczy, są przecież restauracje z osobnymi gabi-
netami.

SŁODKA DZIEWCZYNA (śpiewając).

Ja beim Souper, im chambre separée?

POETA.

Czyś była już kiedy w chambre separée?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jeśli mam prawdę powiedzieć — tak.

POETA.

Któż był tym szczęśliwym?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

O, to nie było, tak jak sobie wyobrażasz... byłam z moją przyjaciółką i z jej narzeczonym. Oni wzięli mnie ze sobą.

POETA.

Mam wierzyć?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Musisz mi przecież wierzyć.

POETA (blisko niej).

Czyś się zarumieniła? Nic teraz nie widać? Nawet twoich rysów rozpoznać już nie mogę. (Dotyka ręką jej twarzy.) Ale i tak cię poznaję.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Uważaj tylko, żebyś mnie z inną nie zamienił.

POETA.

To dziwne, że nie mogę sobie już przypomnieć, jak ty wyglądasz.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dziękuję pięknie.

POETA (poważnie).

Wiesz, to prawie straszne, nie mogę sobie ciebie wyobrazić — do pewnego stopnia już cię zapomniałem — gdybym i dźwięku twego głosu nie mógł sobie przypomnieć... czemże byś dla mnie właściwie była? Bliską a zarazem daleką... Dziwne.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co ty pleciesz?

POETA.

Nic, aniolku, nic. Gdzie twoje usta? ... (całuje ją).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie wolałbyś zapalić światła?

POETA.

Nie ... (Bardzo czule.) Powiedz, czy mnie kochasz.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Bardzo ... o bardzo!

POETA.

Kochałaś już kiedy kogo tak jak mnie?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Mówiłam ci przecie, że nie.

POETA.

Ale ... (wzdycha).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Wszak to był mój narzeczony.

POETA.

Wolałbym, gdybyś o nim teraz nie myślała.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Daj pokój ... Co robisz?

POETA.

Teraz możemy sobie także wyobrazić, że znajdujemy się w zamku w Indjach.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tam pewnie niema takich złych ludzi jak ty.

POETA.

Co za głupota! Boska — gdyby ty wiedziała, czem ty dla mnie jesteś ...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Czem?

POETA.

Nie odtrącajże mnie ciągle; nic ci przecież nie robię
— na razie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Gorset mnie gniecie.

POETA (po prostu).

Zdejm go.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak, ale niech cię to nie zachęca.

POETA.

Nie.

SŁODKA DZIEWCZYNA (wstała i złożyła po ciemku gorset).

POETA (usładł tymczasem na kanapie).

Powiedz, czy nie chciałabyś znać moje nazwisko?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Owszem, jak się nazywasz?

POETA.

Wolę ci nie powiedzieć, jak się nazywam, tylko jak
się nazwałem.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A to co za różnica?

POETA.

Moje nazwisko literackie.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Aha, to ty nie piszesz pod swoim prawdziwym
nazwiskiem?

POETA (blisko niej).

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ach...

POETA.

Co za zapach... Jak słodko. (Całuje jej piersi.)

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Rozdzierasz mi koszulę.

POETA.

Zdejm to... zdejm to... wszystko to zbyteczne.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Ależ Robercie!

POETA.

A teraz chodź do naszego indyjskiego zamku.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Powiedz mi wprzód, czy mnie naprawdę kochasz.

POETA.

Uwielbiam cię. (Całuje ją gorąco.) Ubóstwiam cię, mój skarbie, moja wiosno, mój...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Robercie... Robercie...

POETA.

Była to nadziemski rozkosz... Nazywam się...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Robercie, och, mój Robercie!

POETA.

Nazywam się Bibitz.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dlaczego się nazywasz Bibltz?

POETA.

Nie nazywam się Bibltz — nazwałem się tak . . . Czy nie znasz tego nazwiska?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie.

POETA.

Nie znasz Bibltza? A — to boskie! Rzeczywiście? Ty tylko tak mówisz, że go nie znasz, co?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jak Boga kocham, pierwszy raz słyszę.

POETA.

Czy nigdy nie chodzisz do teatru?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Owszem — dopiero niedawno byłam z jednym — wiesz z wujaszkiem mojej koleżanki i z koleżanką byłyśmy w operze na „Cavallerii“.

POETA.

Hm, a do Burgteatru nigdy nie chodzisz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie dają mi biletów.

POETA.

Przyślę ci bilet.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Owszem! A nie zapomnij! Na coś wesołego.

POETA.

Tak . . . wesołego . . . na coś smutnego nie chciałabyś pójść.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Nie.

POETA.

Gdyby to nawet była moja sztuka?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jakto — twoja sztuka? Ty piszesz dla teatru?

POETA.

Pozwól, zapalę światło. Nie widziałem cię jeszcze, odkąd jesteś moją kochanką — Aniołku! (Zapala świecę.)

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co robisz, przecież się wstydzę. Podaj mi przynajmniej kołdrę.

POETA.

Później! (Zbliżyła się do niej ze światłem i patrzy na nią długo.)

SŁODKA DZIEWCZYNA (zakrywa twarz rękoma).

Odejdź, Robercie!

POETA.

Jesteś piękna, jesteś pięknem, jesteś może nawet naturą, jesteś świętą naiwnością.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Oj, kapiesz na mnie świecą. Czemu nie uważasz!

POETA (odkłada świecę).

Jesteś tem, czego dawno szukałem. Ty kochasz m n i e tylko, kochałabyś mnie nawet, gdybym był subjektem w handlu bławatnym. Jak to błogo. Muszę ci wyznać, że aż do tej chwili nie pozbyłem się pewnego podejrzenia. Powiedz prawdę, czyś nie wiedziała, żem Bibitz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Dajże mi spokój, wcale nie wiem, czego ty chcesz odemnie! Nie znam żadnego Bibitza.

POETA.

Czem jest sława! Zapomnij, co ci powiedziałem, zapomnij nawet nazwisko, którem ci wymienił. Jestem tylko Robertem i chcę nim dla ciebie zostać. Zartowałem tylko. (Lekko.) Nie jestem wcale literatem, jestem subjektem, a wieczorami grywam u Volkssängerów na fortepianie.

SŁODKA DZIEWCZYŃA.

No, teraz już doprawdy nie wiem, co mam myśleć. Jak ty umiesz patrzeć... Co ci jest, co się z tobą dzieje?

POETA.

Tak mi dziwnie — to mi się nigdy jeszcze nie zdarzyło, mój skarbie, jestem bliski płaczu. Głęboko mię wzruszasz. Zostań przy mnie, dobrze? Będziemy się bardzo kochali.

SŁODKA DZIEWCZYŃA.

A z tymi Volkssängerami, czy to prawda?

POETA.

Tak. Nie pytaj mnie już. Jeżeli mnie kochasz, nie pytaj mnie wogóle o nic. Powiedz, czy mogłabyś się zupełnie uwolnić na kilka tygodni?

SŁODKA DZIEWCZYŃA.

Jakto uwolnić?

POETA.

Wyjechać z domu.

SŁODKA DZIEWCZYŃA.

Gdzie tam!! Coby mama powiedziała? Bezemnie poszłoby w domu wszystko nie wiedzieć jak.

POETA.

Wyobrażałem to sobie tak pięknie. Przeżyć z tobą kilka tygodni w samotności, w lesie na łonie natury. Natura... na łonie natury. A potem pewnego dnia rozejść się niewiadomo dokąd.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Już mówisz o rozejściu! A zdawało się, że tak bardzo kochasz.

POETA.

Właśnie dlatego — (Nachyla się ku niej i całuje ją wczolo.)
Ty słodka istoto!

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Przytul mnie mocno, tak mi zimno.

POETA.

Ubierz się. Poczekaj, zapalę ci jeszcze kilka świec.

SŁODKA DZIEWCZYNA (wstaje).

Nie patrzeć.

POETA.

Nie. (Przy oknie.) Powiedz mi moje dziecko, czy czujesz się szczęśliwą?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Jakto?

POETA.

Myślę, czy wogóle jesteś szczęśliwą?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Mogłoby mi być lepiej.

POETA.

Nie rozumiesz mnie. O twoich domowych stosunkach opowiadałaś mi dosyć. Wiem, że księżniczką nie jesteś. Pomijając jednak to wszystko, czy odczuwasz samo życie? Czy czujesz, że żyjesz?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A nie masz grzebienia?

POETA (Idzie ku toalecie, podaje jej grzebień. Patrzy na nią).
Na Boga, jakaś ty piękna!

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Daj pokój!

POETA.

Zostań, — zostań jeszcze, przyniosę coś na kolację
a potem...

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Już bardzo późno.

POETA.

Niema jeszcze dziewiątej.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

No, teraz muszę się śpieszyć.

POETA.

Kiedyż się znów zobaczymy?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

A kiedy chciałbyś?

POETA.

Jutro.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Co to jest jutro?

POETA.

Sobota.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

O to nie mogę, muszę z moją siostrzyczką pójść do
opiekuna.

POETA.

Więc w niedzielę... hm... niedziela... w nie-
dziele... teraz ci coś powiem. — Nie jestem Bibitz,
ale Bibitz jest moim przyjacielem. Przedstawię ci
go kiedy. W niedzielę dają sztukę Bibitza; poszłę ci
bilet a po teatrze będę cię czekał. Powiesz mi, jak
ci się sztuka podobała, zgoda?

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Znów ta historia z Bibitzem — teraz do reszty zgłupiałam.

POETA.

Poznam cię dopiero dobrze, kiedy się dowiem, jakie wrażenie zrobiła na tobie ta sztuka.

SŁODKA DZIEWCZYNA.

Tak... jużem gotowa.

POETA.

Chodźmy, skarbie!

(Wychodzą.)

POETA I AKTORKA

Pokój w gospodzie na wsi. Wieczór wiosenny; łąki i pagórki oblane światłem księżyca. Okna pootwierane. Wielka cisza. Poeta i aktorka wchodzi; w chwili gdy wchodzi, gaśnie świeca, którą poeta trzyma w ręku.

POETA.

O...

AKTORKA.

Co jest?

POETA.

Świeca zgasła. — Zresztą nie trzeba nam jej. Popatrz jak jasno. Cudownie!

AKTORKA (pada nagle na kolana przed oknem, ze złożonemi rękoma).

POETA.

Co ci się stało?

AKTORKA (milczy).

POETA (ku niej).

Co ty robisz?

AKTORKA (oburzona).

Nie widzisz, że się modlę? —

POETA.

Wierzysz w Boga?

AKTORKA.

Nie jestem przecież pierwszą lepszą z brzegu bez
czci, bez wiary!

POETA.

Ach tak!

AKTORKA.

Uklęknij przy mnie. Mógłbyś się także raz pomodlić.
Klejnot ci z korony nie wypadnie!

POETA (kłęka obok niej i obejmuje ją).

AKTORKA.

Bezbożniku. — (Wstaje). A czy wiesz, do kogo się
modliłam?

POETA.

Przypuszczam, że do Boga.

AKTORKA (szyderczo).

Tak! Do ciebie się modliłam.

POETA.

Dlaczego w takim razie patrzyłaś w okno?

AKTORKA.

Powiedz mi raczej, dokąd mnie zawlokłeś, uwodzi-
cielu!

POETA.

Ależ dziecko, to był przecież twój pomysł. Chciałaś
na wieś — i w te strony.

AKTORKA.

Czy nie miałam słuszności?

POETA.

Pewnie. Cudownie tutaj. Pomyśleć, że sę jest ledwie
dwie godziny drogi za Wiedniem — i ta zupełna
samotność... — A jaka okolica!

AKTORKA.

Co? Mógłbyś tu niejedno napisać, gdybyś miał przypadkiem talent.

POETA.

Czyś była tu kiedy?

AKTORKA.

Czy tutaj byłam? Ba! Przepędziłam tu lata całe!

POETA.

Z kim?

AKTORKA.

Naturalnie z Fryderykiem.

POETA.

Ach tak!

AKTORKA.

Ubóstwiałam tego człowieka! —

POETA.

Mówiłaś mi już o tem.

AKTORKA.

Proszę — mogę też natychmiast odejść, jeżeli cię nudzę!

POETA.

Ty mnie nudzisz?... Nie wiesz nawet, czem dla mnie jesteś... Jesteś zamkniętym w sobie światem... Jesteś bóstwem... Jesteś genjuszem... Jesteś... właściwie świętą naiwnością... Tak, ty... Ale nie powinnaś teraz wspominać Fryderyka.

AKTORKA.

To była taka sobie pomyłka.

POETA.

To ładnie, że się przyznajesz do tego.

AKTORKA.

Chodź tu, daj mi całusa!

POETA (całuje ją).

AKTORKA.

Teraz powiedzmy sobie dobranoc! Badź zdrów, skarbie!

POETA.

Jak to...

AKTORKA.

Położę się spać!

POETA.

Hm — dobrze, ale co znaczy „dobranoc“... Gdzież będę nocował?

AKTORKA.

Chyba tu dosyć pokoi.

POETA.

Inny pokój niema dla mnie uroku. Zresztą zapalę teraz światło, dobrze?

AKTORKA.

Dobrze.

POETA (zapala świecę, która stoi na szafce).

Co za ładny pokoik... co za pobożni ludzie... Same obrazy świętych... Byłoby zajmującym, przebyć czas pewien wśród tych ludzi... to przecież całkiem inny świat. Właściwie tak mało wiemy o innych.

AKTORKA.

Nie pleć głupstw. Podaj mi raczej tę torebkę ze stołu.

POETA.

Masz, jedyna.

AKTORKA (wyjmuje z torebki mały obrazek w ramkach, który stawia na szafce).

POETA.

A to co?

AKTORKA.

To Madonna.

POETA.

Czy ją zawsze zabierasz ze sobą?

AKTORKA.

To mój talizman. A teraz, idź, Robercie!

POETA.

Co znaczą te żarty? Czy mam ci pomódz?

AKTORKA.

Nie, teraz odejdz.

POETA.

Kiedy mam wrócić?

AKTORKA.

Za dziesięć minut.

POETA (całuje ją).

Do widzenia!

AKTORKA.

Dokąd chcesz pójść?

POETA.

Będę się przechadzał pod oknem. Ogromnie lubię nocą spacerować. Przychodzą mi wtedy najlepsze myśli. A zwłaszcza blisko ciebie, owiany, że tak powiem, twoją tęsknotą, snując twoją sztukę...

AKTORKA.

Mówisz, jak idjota...

POETA (boleśnie).

Są kobiety, któreby rzekły może... jak poeta.

AKTORKA.

No, idź już sobie. Tylko mi nie zaczynaj z kelnerkami romansów.

POETA (idzie).

AKTORKA rozbiera się. Słyszy poetę, schodzącego po drewnianych schodach; słyszy jego kroki pod oknem. Rozebrawszy się, idzie ku oknu, patrzy na dół, on tam stoi, woła nań szeptem).

Chodź!

POETA (wraca prędko; rzuca się ku niej, ona tymczasem się już położyła i zgasła światło; on zamyka drzwi).

AKTORKA.

Tak, teraz możesz się do mnie przysiąc i opowiedzieć mi coś.

POETA (siada na jej łóżku).

Czy zamknąć okno? Nie zimno ci?

AKTORKA.

O nie.

POETA.

Cóż ci powiedzieć?

AKTORKA.

Komu się w tej chwili sprzeniewierzasz?

POETA.

Niestety, jeszcze się nie sprzeniewierzam.

AKTORKA.

Pociesz się, ja także kogoś zdradzam.

POETA.

Wyobrażam to sobie.

AKTORKA.

Jak ci się zdaje? kogo?

POETA.

Ależ dziecko, o tem nie mogę przecież mieć pojęcia.

AKTORKA.

Zgadnij.

POETA.

Poczekaj... No, swojego dyrektora.

AKTORKA.

Mój kochany, nie jestem chórzystką.

POETA.

Tak tylko, myślałem...

AKTORKA.

Zgaduj jeszcze raz.

POETA.

Więc zdradzasz swego kolegę, Benona.

AKTORKA.

Ha! Ten człowiek wcale kobiet nie kocha... Nie wiesz tego? On ma przecież stosunek ze swym listonoszem!

POETA.

Nie może być!

AKTORKA.

Daj mi więc całusa!

POETA (obejmuje ją).

AKTORKA.

Co robisz?

POETA.

Nie dręcz mnie tak.

AKTORKA.

Słuchaj Rubercie, zrobię ci propozycję. Połóż się tu... do łóżka.

POETA.

Zgoda!

AKTORKA.

Chodźże prędko, chodź!

POETA.

No, gdyby to odemnie zależało, dawnobym już... słyszysz...

AKTORKA.

Co takiego.

POETA.

Słyszysz świerszcza?

AKTORKA.

Czyś oszalał, moje dziecko, tu niema wcale świerszczy.

POETA.

Przecież słyszysz.

AKTORKA.

Chodźże już!

POETA.

Oto jestem. (Do niej).

AKTORKA.

Tak, teraz leż spokojnie... pst... nie ruszaj się.

POETA.

Cóż ci znów do głowy strzeliło?

AKTORKA.

Tybyś miał ochotę nawiązać ze mną stosunek, co?

POETA.

Powinnaś się z tem pogodzić.

AKTORKA.

Do tego miałby niejeden ochotę...

POETA.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w tej chwili mam ja największe szanse.

AKTORKA.

Pójdź więc, mój szcurku! Odtąd będę cię nazywała szcurkiem.

POETA.

Ślicznie...

AKTORKA.

Kogo więc oszukuję?

POETA.

Kogo? Może mnie...

AKTORKA.

Moje dziecko, tyś ciężko na mózg chory.

POETA.

Albo kogoś... któregoś sama nigdy nie widziała... którego nie znasz, który jest tobie przeznaczony, a którego nigdy nie znajdziesz.

AKTORKA.

Mój kochany, nie pleć tak bajecznie głupio.

POETA.

Czyż to nie dziwne... i ty — a możnaby przecież sądzić. — Ależ nie znaczyłoby to pozbawić się tego, co w tobie najlepsze, gdyby ci chciano... chodźże, chodź — chodź —

AKTORKA.

— — — — —
To przecież piękniejsze, niż grać idjotyczne sztuki... jak sądzisz?

POETA.

Sądzę, że dobrze jest, jeżeli możesz grywać czasem w rozsądnych sztukach.

AKTORKA.

Ty zarozumiała psie, masz pewnie swoje na myśli?

POETA.

Naturalnie!

AKTORKA (poważnie).

To wspaniała rzecz!

POETA.

A widzisz.

AKTORKA.

Tak, tyś wielki genjusz Robercie!

POETA.

Przy tej sposobności mogłabyś mi zresztą powiedzieć, dlaczego wczoraj nie grałaś. Przecież chora nie byłaś!

AKTORKA.

Chciałam cię trochę podrażnić!

POETA.

Dlaczego? Cóżem ci złego zrobił?

AKTORKA.

Byłeś arogancki.

POETA.

Jakto?

AKTORKA.

Wszyscy w teatrze są tego zdania.

POETA.

Hm...

AKTORKA.

Powiedziałam im jednak. Ten człowiek ma prawo być arogancki.

POETA.

A oni co na to?

AKTORKA.

Cóż mieli powiedzieć? Nie rozmawiam przecież z nikim.

POETA.

Ach tak.

AKTORKA.

Oni by mnie wszyscy najchętniej otruli. Ale to im się n'e uda.

POETA.

Nie myśl teraz o innych ludziach. Ciesz się raczej, żeśmy tu razem i powiedz mi, że mnie kochasz.

AKTORKA.

Żadasz jeszcze dowodów?

POETA.

Tego wogóle nie można udowodnić.

AKTORKA.

Paradny jesteś! Czego chcesz jeszcze?

POETA.

Chciałbym wiedzieć, ilu mężczyznom chciałaś w ten sam sposób udowodnić... czy kochałaś wszystkich?

AKTORKA.

O nie. Kochałam tylko jednego.

POETA (ściska ją).

Mój...

AKTORKA.

Frycek.

POETA.

Nazywam się Robert. Czem więc jestem dla ciebie, jeżeli myślisz teraz o Fryderyku?

AKTORKA.

Kaprysem.

POETA.

Dobrze wiedzieć.

AKTORKA.

Powiedz, czy nie jesteś dumny z tego?

POETA.

Z czegoż właściwie mam być dumny?

AKTORKA.

Zdaje mi się, że masz powód.

POETA.

Ach, dlatego.

AKTORKA.

Dlatego, mój blady świerszczu! — Cóż tam słyhać ze świszczaniem? Czy świszczą jeszcze?

POETA.

Ciągle. Nie słyszysz?

AKTORKA.

Ależ słyszę, słyszę. Tylko, to są żaby, moje dziecko.

POETA.

Mylisz się, żaby rechocą.

AKTORKA.

Pewnie, że rechocą.

POETA.

Ale nie tu, moje dziecko, tu są świerszcze.

AKTORKA.

Jesteś najbardziej upartem stworzeniem jakie kiedykolwiek spotkałam. Pocałuj **mn**ie, moja żabo!

POETA.

Proszę cię, nie nazywaj mnie tak. To mnie wprost denerwuje.

AKTORKA.

Więc jakże mam cię nazywać?

POETA.

Nazywam się przecież Robert.

AKTORKA.

Ach, to takie głupie.

POETA.

Ależ, proszę cię, mów mi poprostu, tak, jak się nazywam.

AKTORKA.

Więc Robercie, ucałuj mnie ... Ach! (Całuje go). Czyś już zadowolona, żabo? Hahahaha!

POETA.

Pozwolisz zapalić papierosa?

AKTORKA.

Daj mnie także.

On bierze papierośnicę z szafki, wyjmując z niej dwa papierosy, zapala obydwa i daje jej jeden.

AKTORKA.

Nie wspomniałeś zresztą ani słowem o moim wczorajszym występie.

POETA.

O jakim występie?

AKTORKA.

Jakto?

POETA.

Ach tak. Nie byłem w teatrze.

AKTORKA.

Żartujesz?

POETA.

Wcale nie. Ponieważ przedwczoraj występ odwołałaś, przypuszczałem, że i wczoraj nie będziesz w pełni swych sił i wołałem zrezygnować.

AKTORKA.

Straciłeś dużo.

POETA.

Tak.

AKTORKA.

Była sensacja. Ludzie aż bledli.

POETA.

Czyś to tak wyraźnie zauważyła?

AKTORKA.

Benno mówił: dziecko, grałaś bosko.

POETA.

Hm! ... A przedwczoraj jeszcze byłaś tak ciężko chora.

AKTORKA.

Tak, byłam chora. A czy wiesz, dlaczego? Z tęsknoty za tobą.

POETA.

Przed chwilą mówiłaś, żeś chciała mnie trochę podrażnić i dlatego odwołałaś występ.

AKTORKA.

Co ty wiesz o mojej miłości. Tobie wszystko jest obojętne. A ja leżałam całymi nocami w gorączce. Czterdzieści stopni!

POETA.

Jak na kapryś to dość wysoka temperatura.

AKTORKA.

Nazywasz to kaprysem? Usycham z miłości do ciebie, a ty nazywasz to kaprysem —?! ,

POETA.

A Fryderyk?

AKTORKA.

Fryderyk? ... Nie mów mi o tym galerniku! —

AKTORKA I HRABIA

Sypialnia aktorki. Zbytkowne urządzenie. Dwunasta w południe; story są jeszcze zapuszczone, na szafce obok łóżka pali się świeca, aktorka leży jeszcze w łóżku pod baldachimem.
Na kołdrze dużo dzienników.

Hrabia wchodzi w mundurze rotmistrza dragonów. Staje w drzwiach.

AKTORKA.

A, pan hrabia.

HRABIA.

Mama pani pozwoliła, inaczej bym...

AKTORKA.

Proszę bliżej.

HRABIA.

Całuję rączki. Przepraszam — gdy się wejdzie z ulicy... literalnie nic nie widzę. Tak... Więc tu (przy łóżku). Całuję rączki.

AKTORKA.

Proszę siadać, panie hrabio.

HRABIA.

Mama pani wspomniała mi właśnie, że pani cierpiąca... Spodziewam się, że to nic wielkiego.

AKTORKA.

Nic wielkiego? Byłam bliską śmierci.

HRABIA.

Na Boga, czy być może?

AKTORKA.

W każdym razie bardzo to grzecznie z pańskiej strony, że się pan do mnie pofatygował.

HRABIA.

Bliską śmierci! A wczoraj wieczór grała pani jak bogini.

AKTORKA.

Zdaje się, że odniosłam wielki tryumf.

HRABIA.

Kolosalny!... Publiczność była porwana. O sobie już wcale nie mówię.

AKTORKA.

Dziękuję za śliczne kwiaty.

HRABIA.

Ależ proszę...

AKTORKA (oczyma wskazując na duży kosz kwiatów, stojący na stoliczku przy oknie).

Tutaj stoją.

HRABIA.

Panią wczoraj formalnie zasypano kwiatami i wieńcami.

AKTORKA.

Wszystko leży dotychczas w garderobie. Tylko pański kosz wzięłam z sobą do domu.

HRABIA (całuje jej rękę).

To ślicznie.

AKTORKA (bierze nagle jego rękę i całuje ją).

HRABIA.

Ależ pani.

AKTORKA.

Nie lękaj się pan, panie hrabio, to pana do niczego nie obowiązuje.

HRABIA.

Pani jest tak dziwną istotą... rzechby można, zagadkową. — (Pauza.)

AKTORKA.

Pannę Birken możnaby zapewne prędzej odgadnąć, co?

HRABIA.

No, mała Birken nie jest zagadką, chociaż... znam ją tylko tak pobieżnie.

AKTORKA.

O!

HRABIA.

Proszę mi wierzyć. Ale pani jest zagadką. Za tem tęskniłem zawsze. Straciłem właściwie wiele, żem panią wczoraj dopiero... po raz pierwszy widział na scenie.

AKTORKA.

Czy to możliwe?

HRABIA.

Tak jest. Widzi pani, to tak trudno z teatrem. Przyzwyczailem się jadać późno obiad... jeżeli się potem przychodzi, to zwykle najładniejsze minęło. Czyż nie tak?

AKTORKA.

Odtąd będziesz pan musiał wcześniej jadać obiad.

HRABIA.

A tak, myślałem już o tem. Albo i wcale nie. To doprawdy żadna przyjemność, te obiady.

AKTORKA.

W czymże pan właściwie znajdujesz jeszcze przyjemność, młody starcze ?

HRABIA.

Sam siebie nieraz się pytam! Ale starcem nie jestem. Musi w tem być coś innego.

AKTORKA.

Tak pan myśli?

HRABIA.

Tak jest. Lulu naprzykład powiada, że jestem filozofem. Wie pani, on twierdzi, że ja za dużo myślę.

AKTORKA.

Ach tak... myśleć, to nieszczęście.

HRABIA.

Mam za dużo czasu, dlatego tyle myślę. Proszę panią, zdawało mi się, że będzie lepiej, jeżeli mnie przeniosą do Wiednia. Tutaj tyle rozrywek, tyle podniety. Ale w gruncie rzeczy taksamo jak i tam na górze.

AKTORKA.

Gdzież to jest tam: na górze?

HRABIA.

No, tam na dole, wie pani, na Węgrzech, w tych dziurach, gdzie przeważnie stał mój garnizon.

AKTORKA.

Cożes pan robił na Węgrzech?

HRABIA.

To co mówię, proszę pani, pełniłem służbę.

AKTORKA.

A czemu pan byłeś tak długo na Węgrzech?

HRABIA.

To już tak bywa.

AKTORKA.

Tam przecież można oszaleć.

HRABIA.

Dlaczego? Ma się przecież więcej co robić, niż tutaj. Wie pani, ćwiczyć rekrutów, ujeżdżać remonty... a potem okolica nie tak brzydka, jak mówią. Ta równina to coś bardzo pięknego — a taki zachód słońca, szkoda że nie jestem malarzem, myślałem już nieraz o tem, że gdybym był malarzem, tobym to odmalował. Jednego mieliśmy w pułku, młodego Splamy, ten to umiał. Ale poco ja pani te nudne historie opowiadam.

AKTORKA.

Ależ panie hrabio, bawię się znakomicie.

HRABIA.

Wie pani, z panią można gawędzić, to mi już Lulu powiedział, a to się tak rzadko zdarza...

AKTORKA.

Pewnie, na Węgrzech...

HRABIA.

Ale we Wiedniu tak samo! Ludzie są wszędzie jednakowi; gdzie ich więcej, tam ścisk większy, to cała różnica. Proszę mi powiedzieć, czy pani właściwie lubi ludzi?

AKTORKA.

Czy ich lubię? Nienawidzę ich! Nie znoszę ich! Nie widuję też nikogo. Jestem zawsze sama, tego prognozę nie przestępuję.

HRABIA.

Widzi pani, wyobrażałem sobie, że pani właściwie jest mizantropką. W sztuce zdarza się to zapewne dość często. Jeżeli się to tak w wyższych sferach... no pani przecież dobrze, przynajmniej wie pani poco pani żyje!

AKTORKA.

Kto to powiedział? Nie mam pojęcia, poco właściwie żyję.

HRABIA.

Pani — taka sławna — uwielbiana —

AKTORKA.

Czy to szczęście?

HRABIA.

Szczęście? Proszę pani, szczęścia niema wcale. Wogóle te rzeczy, o których się najwięcej rozprawia, wcale nie istnieją... naprzykład miłość. To także coś w tym rodzaju.

AKTORKA.

Ma pan słuszność.

HRABIA.

Rozkosz... szal... przeciw temu nic się powiedzieć nie da... to coś realnego. Teraz używam... dobrze, wiem że używam, albo jestem pijany, dobrze. To także coś pewnego. A gdy minęło, to już niema.

AKTORKA (z patosem).

Minęło.

HRABIA.

Ale jeżeli, jak mam się wyrazić, człowiek nie idzie za popędem chwili, lecz myśli o tem co nastąpi, lub o tem co było... to wszystko zaraz precz poszło. Później — smutno... wcześniej — niepewne... jednym słowem... jest się poprostu w rozterce. Czy nie mam racji?

AKTORKA (potakuje, otwierając szeroko oczy).

Pan pojąłeś treść życia...

HRABIA.

Widzi pani, kto to sobie raz wytłomaczył, temu zupełnie obojętne, czy żyje we Wiedniu, czy na pusztach węgierskich. Naprzykład... gdzie mogę położyć czapkę? Tak, ślicznie dziękuję... o czymże to mówiliśmy?

AKTORKA.

Wszystko jedno, gdzie.

HRABIA.

Prawda. Więc jak powiadam, różnica niewielka. Czy siedzę wieczorem w kasynie, czy w klubie, to wszystko jedno.

AKTORKA.

A jak się ma rzecz z miłością?

HRABIA.

Jeżeli się w to wierzy, wówczas zawsze znajdzie się taka, co kocha.

AKTORKA.

Naprzykład panna Birken.

HRABIA.

Nie wiem doprawdy, dlaczego pani zawsze wspomina tę małą Birken.

AKTORKA.

Przecież to pańska kochanka.

HRABIA.

Któż to powiedział?

AKTORKA.

Wszyscy to mówią.

HRABIA.

Z wyjątkiem mnie, to dziwne.

AKTORKA.

Miał pan przecież o nią pojedynek.

HRABIA.

Być może, że mnie wtedy i zastrzelono, a ja nie zauważyłem tego.

AKTORKA.

Panie hrabio, pan jest człowiekiem honoru. Usiądź pan bliżej.

HRABIA.

Ośmielam się.

AKTORKA.

Tutaj (przyciąga go do siebie, przesuwa mu ręką po włosach) Wiedziałam, że pan dzisiaj przyjdzie!

HRABIA.

Skąd?

AKTORKA.

Wiedziałam o tem wczoraj jeszcze w teatrze.

HRABIA.

Czyżby mnie pani widziała ze sceny?

AKTORKA.

Ależ człowieku! Czyż nie wiesz, że tylko dla pana grałam?

HRABIA.

Czy to możliwe ?

AKTORKA.

Przecie biegłam formalnie, kiedym pana w pierwszych rzędach zobaczyła!

HRABIA.

Pani biegła? i to z mojej przyczyny? Nie miałem pojęcia o tem, że mnie pani widzi!

AKTORKA.

Pan możesz swoją dystynkcją do rozpacz przywieść.

HRABIA.

W istocie, pani ...

AKTORKA.

Odłóż pan przynajmniej szablę!

HRABIA.

Jeśli wolno. (Odpiał szablę, opiera ją o łóżko).

AKTORKA.

I pocałuj mnie wreszcie.

HRABIA (całuje ją, ona go nie puszcza).

AKTORKA.

Obym ciebie lepiej nigdy nie była poznała!

HRABIA.

Przecież tak lepiej!

AKTORKA.

Panie hrabio, pan pozuje!

HRABIA.

Ja — dlaczego?

AKTORKA.

Co pan myśli, niejeden byłby szczęśliwym, gdyby był na pańskim miejscu!

HRABIA.

Jestem także bardzo szczęśliwy.

AKTORKA.

A ja myślałam, że niema szczęścia. Jak dziwnie na mnie patrzysz? Zdaje mi się, że pan się mnie obawia, panie hrabio!

HRABIA.

Powiedziałem już, że pani jest zagadką.

AKTORKA.

Daj mi święty spokój z filozofją... chodź do mnie. A teraz poproś mnie o co... dostaniesz wszystko, co zechcesz. Jesteś taki piękny.

HRABIA.

Proszę więc o pozwolenie (całując jej rękę) przyjścia dziś wieczorem.

AKTORKA.

Dziś wieczorem... gram przecież.

HRABIA.

Po teatrze.

AKTORKA.

O co innego nie prosisz?

HRABIA.

O wszystko inne poproszę po teatrze.

AKTORKA (urazona).

Mógłbyś długo prosić, nędzny komedjancie.

HRABIA.

Widzi pani, albo widzisz, byliśmy dotąd tak szczerzy ze sobą... Mojem zdaniem byłoby to o wiele piękniej wieczorem po teatrze... przyjemniej niż teraz, gdzie... zdaje mi się ciągle, że drzwi mogłyby się otworzyć...

AKTORKA.

Drzwi się na zewnątrz nie otwierają.

HRABIA.

Widzisz, jestem tego zdania, że nie powinno się psuć wprzód tego, co mogłoby być bardzo piękne.

AKTORKA.

Co mogłoby być...

HRABIA.

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, miłość za dnia czemś okropnem, zdaje mi się czemś okropnem.

AKTORKA.

Tyś chyba największym warjatem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

HRABIA.

Nie mówię przecież o bylejakich kobietach... ostatecznie to na jedno wychodzi. Ale kobiety takie jak ty... możesz mię po raz setny nazwać głupcem. Ale kobiety takich jak ty... nie bierze się przed śniadaniem. A tak... wiesz... tak...

AKTORKA.

Boże, jakiś ty słodki!

HRABIA.

Nieprawdaż, przyznajesz mi słuszność? Ja sobie to tak przedstawiam —

AKTORKA.

Jakżeż to sobie przedstawiasz?

HRABIA.

Myślę... zaczekam w powozie na ciebie po teatrze, potem pojedziemy gdzieś na kolację —

AKTORKA.

Nie jestem panną Birken.

HRABIA.

Tego nie powiedziałem. Myślę tylko, że do wszystkiego potrzeba nastroju. Ja dopiero po kolacji wpadam w nastrój. To tak ładnie, gdy się po kolacji jedzie razem do domu, potem...

AKTORKA.

Co potem?

HRABIA.

Więc potem... to tkwi w dalszym rozwoju wypadków.

AKTORKA.

Przysiadź się bliżej. Bliżej.

HRABIA (siadając na łóżko).

Te poduszki tak pachną... To rezeda, nieprawdaż?

AKTORKA.

Tu bardzo gorąco — prawda?

HRABIA (pochyla się i całuje jej szyję).

AKTORKA.

Panie hrabio, to przeciw pańskiemu programowi.

HRABIA.

Któż to powiada? Nie mam żadnego programu.

AKTORKA (przyciąga go do siebie).

HRABIA.

Tu naprawdę gorąco.

AKTORKA.

Tak sądzisz? A ciemno, jakby w nocy... (przyciska go do siebie). Jest noc... jest ciemna noc... Zamknij oczy, jeśli ci jasno. Chodź!... chodź!...

HRABIA (nie opiera się już).

AKTORKA.

Jakże tam z tym nastrojem, ty komedjancie?

HRABIA.

Z ciebie prawdziwy djablik.

AKTORKA.

Cóż to za wyrażenie?

HRABIA.

Więc anioł.

AKTORKA.

Powinieneś być aktorem! Naprawdę! Znasz kobiety! Czy wiesz, co teraz zrobię?

HRABIA.

Cóż takiego?

AKTORKA.

Powiem ci, że nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

HRABIA.

A to dlaczego?

AKTORKA.

Nie, nie, jesteś dla mnie zanadto niebezpieczny. Ty kobietę przyprawiasz o szal. Teraz wyglądasz jak gdyby nigdy nic.

HRABIA.

Ależ.

AKTORKA.

Proszę sobie łaskawie przypomnieć, panie hrabio, że przed chwilą byłam pańską kochanką.

HRABIA.

Tego nigdy nie zapomnę.

AKTORKA.

A co z dzisiejszym wieczorem?

HRABIA.

Jak to rozumieć?

AKTORKA.

Chciałeś przecież oczekiwać mnie po teatrze?

HRABIA.

Dobrze więc, na przykład pojutrze.

AKTORKA.

Co to znaczy pojutrze? Była przecież mowa o dzisiejszym wieczorze.

HRABIA.

Toby nie miało sensu.

AKTORKA.

Ty starcze!

HRABIA.

Nie rozumiesz mnie. Pojmuję to więcej, jakże się mam wyrazić, ze strony duchowej.

AKTORKA.

Cóż mnie twoja dusza obchodzi?

HRABIA.

Wierzaj mi, i ona do tego należy. Uważam to za fałszywy pogląd, jakoby można jedno od drugiego oddzielić.

AKTORKA.

Zostaw mnie z twoją filozofją w spokoju. Jeżeli o nią mi chodzi, czytam książki.

HRABIA.

Z książki nigdy nauczyć się nie można.

AKTORKA.

To prawda! Dlatego czekaj mię dziś wieczór. Co do duszy pogodzimy się już, ty lotrzyku!

HRABIA.

Więc, jeżeli pozwolisz, będę w moim powozie . . .

AKTORKA.

Tutaj w mojem mieszkaniu będziesz mnie oczeki-
wał —

HRABIA.

. . . Po teatrze.

AKTORKA.

Naturalnie.

(Przypasał sobie szablę).

AKTORKA.

Co robisz?

HRABIA.

Myślę, że już czas iść. Jak na ceremonialną wizytę
bawiłem trochę za długo.

AKTORKA.

Dziś wieczór wizyta nie będzie ceremonialna.

HRABIA.

Tak myślisz?

AKTORKA.

To już moja rzecz. A teraz daj mi całusa, mój mały
filozofie. Ty uwodzicielu, ty . . . słodki dzieciaku, ty
handlarzu dusz, ty lltisie . . . ty . . . (Ucałowawszy go
gwałtownie kilka razy, odpycha go nagle od siebie). Panie
hrabio, było mi to zaszczytem!

HRABIA.

Całuję rączki pani! (U drzwi). Do widzenia.

AKTORKA.

Adieu!

HRABIA I DZIEWKA

Godzina szósta rano. Nędzny pokój o jednym oknie, żółtawo-brudne story spuszczone. Wypełzłe zielone firanki. Komoda, na niej parę fotografii i bardzo niegustowny, tani kapelusz damski. Za lustrem tanie japońskie wachlarze. Na stole, okrytym czerwonawym sukniem, lampa naftowa, słabo płonąca; papierowa żółta umbra, obok dzban z resztkami piwa i szklanka do połowy opróżniona. Obok łóżka na podłodze leżą w bezładzie suknie kobiece, jakgdyby zrzucone w pośpiechu. W łóżku śpi dziewczka; oddech jej spokojny.

Na kanapie leży hrabia zupełnie ubrany, w paltocie koloru szarego; kapelusz leży koło kanapy na ziemi.

HRABIA (budzi się, przeciera oczy, podnosi się szybko, siada, spogląda w około siebie).

Gdzież jestem... Ach tak... Rzeczywiście więc poszedłem z tą kobietą do domu... (Wstaje przedko, patrzy w około, widzi jej łóżko). Leży tu. Co się mężczyźnie w moim wieku jeszcze zdarzyć może? Nie mam pojęcia, czy mię tu przynieśli? Nie... widziałem przecież — przychodzę do pokoju... tak... byłem jeszcze trzeźwy, czy też się wytrzeźwiłem... albo... czy tylko dlatego, że mi ten pokój coś przypomina?... Słowo honoru, no tak... wczoraj to widziałem... (spogląda na zegarek) co! wczoraj, przed kilku godzinami — ale wiedziałem że coś się stanie... przeczuwałem to... jak tylko zacząłem pić, czułem, że... I cóż się wreszcie stało?... Więc nic... Albo może...? Słowo honoru... od... od dziesięciu lat nie spotkało mię coś takiego, abym nie wiedział na pewno... Więc krótko a węzłowato, byłem pijany. Gdybym tylko wiedział, od kiedy... To jeszcze przypominam sobie dokładnie, kiedym wszedł z Lulem do tej kawiarni prostytutek nie, nie... od Sachera jeszcze wyszli-

śmy ... później dopiero w drodze ... Prawda, przecież jechałem z Lulem w moim powozie ... Ale pocię sobie głowę łamię. To zresztą wszystko jedno. Trzeba się stąd wynieść. (Wstaje. Lampa się chwieje). O!(Spogląda na śpiącą) Ona ma sen zdrowy. Nie mogę sobie wprowadzić nic przypomnieć — ale położę jej pieniądze na stoliku ... i serwus ... (Stoi przed nią, patrzy długo na nią). Gdybym nie wiedział, czem ona jest! (Przypatruje się jej długo). Dużo takich znałem, które nawet we śnie cnotliwie nie wyglądały. Słowo daję ... Lulu znów by powiedział, że filozofuję, ale to prawda, że sen wyrównuje wszystko, jak jego brat, niby śmierć ... Hm, chciałem tylko wiedzieć, czy ... Nie, musiałbym sobie to przypomnieć ... Nie, nie, zaraz upadłem na kanapę ... i nic się nie stało ... To nie do uwierzenia, jakie te wszystkie kobiety nieraz do siebie podobne ... No chodźmy. (Chce odejść). Tak, prawda. (Bierze portfel i chce wyjąć banknot).

DZIEWKA (budzi się).

Któż tam tak zaraz rano? (Poznaje go). Serwus mały!

HRABIA.

Dzień dobry. Spałaś dobrze?

DZIEWKA (wyciąga się).

Chodź tu. Daj mi całusa.

HRABIA (pochyliła się nad nią, po namyśle znów chce odejść).

Chciałem właśnie odejść.

DZIEWKA.

Odejść?

HRABIA.

Już czas.

DZIEWKA.

Tak chcesz odejść?

HRABIA (prawie zażenowany).

Tak...

DZIEWKA.

Serwus, przyjdź znów kiedyś.

HRABIA.

Bądź zdrowa. Nie podasz mi rączki?

DZIEWKA (wysuwa rękę z pod kołdry).

HRABIA (bierze jej rękę i całuje ją machinalnie, zauważył to i śmieje się).

Jak księżniczka. Zresztą, gdyby tylko...

DZIEWKA.

Czego tak na mnie patrzysz?

HRABIA.

Jeżeli widzi się tylko główkę, jak teraz... Po przebudzeniu się jest także niewinną... słowo honoru, możnaby wszystko w siebie wmówić, gdyby tylko nie było tak czuć nafty.

DZIEWKA.

Z tą lampą wieczna subjeckja.

HRABIA.

Ile ty masz właściwie lat?

DZIEWKA.

Jak ci się zdaje?

HRABIA.

Dwadzieścia cztery.

DZIEWKA.

A pewnie.

HRABIA.

Więcej?

DZIEWKA.

Dziewiętnaście skończyłam.

HRABIA.

A jak długo...

DZIEWKA.

W tym fachu, już rok.

HRABIA.

Toś ty wcześniej zaczęła.

DZIEWKA.

Lepiej zawcześniej, niż za późno.

HRABIA (siada na łóżku).

Powiedz mi, czy jesteś właściwie szczęśliwą?

DZIEWKA.

Co?

HRABIA.

Pytam, jak ci się wiedzie?

DZIEWKA.

O, mnie zawsze dobrze się powodzi.

HRABIA.

Hm... Powiedz, czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że mogłabyś zostać czem innym?

DZIEWKA.

Czemże mogłabym zostać?

HRABIA.

Wszak... tyś naprawdę ładna. Mogłabyś na przykład mieć kochanka.

DZIEWKA.

Myślisz, że nie mam?

HRABIA.

Wiem przecież — mam jednak na myśli jednego takiego, wiesz, coby cię utrzymywał, abyś nie potrzebowała z każdym się wdawać.

DZIEWKA.

Ja też nie wdaję się z każdym. Chwała Bogu tego nie potrzebuję. Już sobie potrafię wyszukać facetów.

HRABIA (rozgląda się po pokoju).

DZIEWKA (zauważyła to).

W przyszłym miesiącu przeprowadzamy się do miasta na Spiegelgasse.

HRABIA.

My? Któż jeszcze?

DZIEWKA.

No, gospodyni i tych parę dziewcząt, co tu mieszkają.

HRABIA.

Tu inne jeszcze mieszkają —

DZIEWKA.

A jakże, zaraz obok... nie słyszysz... to Mila co była także w kawiarni.

HRABIA.

Tam ktoś chrapie.

DZIEWKA.

To Mila, ona chrapie cały boży dzień, aż do dziesiątej wieczór. Potem wstaje i idzie do kawiarni.

HRABIA.

Ależ to okropne życie.

DZIEWKA.

Pewnie. Gospodyni dość się też o to gniewa. Ja jestem już o dwunastej w południe na ulicy.

HRABIA.

Cóż ty robisz o dwunastej na ulicy?

DZIEWKA.

Cóż mam robić? Spaceruję.

HRABIA.

Ach tak... naturalnie... (Wstaje, wyjmuje portfel, kładzie banknot na stoliku). Adieu!

DZIEWKA.

Już idziesz... Serwus... Przyjdź znowu kiedy.
(Odwraca się na drugi bok).

HRABIA (stałe znowu).

Słuchajno, tobie już wszystko jedno, co?

DZIEWKA.

Co?

HRABIA.

Myślę, że ci to już nie sprawia żadnej przyjemności.

DZIEWKA (ziewając).

Takam śpiąca.

HRABIA.

Tobie wszystko jedno, czy młody, czy stary, czy...

DZIEWKA.

Poco to pytanie?

HRABIA.

Przypominam sobie coś (nagle) słowo daję, teraz już wiem, kogo mi przypominasz, to jest...

DZIEWKA.

Jestem do kogoś podobna?

HRABIA.

Nie do uwierzenia, nie do uwierzenia, proszę cię bardzo, nie mów nic, chociaż chwileczkę... (patrzy na nią) tasama twarz, zupełnie tasama twarz. (Całuje nagle jej oczy).

DZIEWKA.

No...

HRABIA.

Słowo honoru, szkoda, żeś ty... nie co innego. Miałybyś szczęście.

DZIEWKA.

Tyś taki sam jak Franek.

HRABIA.

Co to za Franek?

DZIEWKA.

Kelner z naszej kawiarni...

HRABIA.

Dlaczego jestem taki, jak Franek?

DZIEWKA.

Bo ten także zawsze gada, że mogłabym, i żebym za niego poszła.

HRABIA.

Dlaczegoż tego nie zrobisz?

DZIEWKA.

Ślicznie dziękuję... nie chcę wyjść za mąż, nie, za nic w świecie. Może kiedyś... później.

HRABIA.

Te oczy... tesame oczy... Lulu powiedziałby, że m głupiec — ale chcę raz jeszcze te oczy ucałować... tak... a teraz, bądź zdrowa, idę już.

DZIEWKA.

Serwus . . .

HRABIA (u drzwi).

Słuchaj . . . powiedz . . . nie dziwi cię to wcale . . .

DZIEWKA.

Co takiego?

HRABIA.

Że nic od ciebie nie żądam.

DZIEWKA.

Jest dużo mężczyzn takich, co rano nie mają ochoty.

HRABIA.

Prawda . . . (Do siebie) To głupie, że chcę, aby ona się dziwiła . . . Serwus . . . (Jest u drzwi). Właściwie irytuje to mnie. Wiem przecież, że takim kobietom idzie tylko o pieniądze . . . co mówię — takim . . . to ładnie . . . powinienem się raczej cieszyć, że nie udaje . . . Słuchaj, wiesz, przyjdę znów kiedy do ciebie.

DZIEWKA (z przymkniętymi oczyma).

Dobrze.

HRABIA.

Kiedy cię można zastać?

DZIEWKA.

Ja zawsze w domu. Zapytaj tylko o Leokadję!

HRABIA.

Leokadja . . . ładnie — bądź zdrowa. (U drzwi). Jeszcze mi szumi wino w głowie. Więc to bajeczne . . . byłem u takiej i nie zrobiłem nic więcej, tylko w oczy pocałowałem, bo mi kogoś przypomina . . . (Zwraca się do niej) Leokadjo, czy ci się to częściej zdarza, że ktoś tak od ciebie odchodzi?

DZIEWKA.

Jak?

HRABIA.

Jak ja?

DZIEWKA.

Zrana?

HRABIA.

Nie . . . czy był już kto u ciebie — i niczego nie żądał?

DZIEWKA.

Nie, to mi się jeszcze nie zdarzyło.

HRABIA.

Więc cóż myślisz? Że mi się nie podobasz?

DZIEWKA.

Czego bym ci się nie miała podobać? W nocy jużem ci się podobała.

HRABIA.

Ty mi się i teraz podobasz.

DZIEWKA.

Ale w nocy podobałam ci się więcej.

HRABIA.

Na jakiej podstawie to sądzisz?

DZIEWKA.

Czego się tak głupio pytasz?

HRABIA.

W nocy . . . powiedz, czy nie padłem zaraz na kanapę?

DZIEWKA.

Rozumie się . . . razem ze mną.

HRABIA.

Z tobą?

DZIEWKA.

Tak, nie pamiętasz już?

HRABIA.

Ja... myśmy razem... no tak...

DZIEWKA.

Aleś zaraz usnął.

HRABIA.

Zaraz... tak... więc to tak było!...

DZIEWKA.

Tak, mój mały. Aleś musiał być porządnie urżnięty, kiedy sobie nic nie przypominasz.

HRABIA.

Tak... — A więc przecież... jest dalekie podobieństwo... Serwus... (Nadśłuchuje). Co się tam stało?

DZIEWKA.

Pokojówka już wstała. Daj jej coś przy wyjściu. Brama otwarta, zaoszczędzisz szperę.

HRABIA.

Tak. (W przedpokoju). Więc... Przecież byłoby to piękne, gdybym ją tylko w oczy całował. Zakrawałoby to niby na przygodę... Nie było mi znać sądzonem. (Pokojówka otwiera drzwi). Co się tam stało?

POKOJÓWKA.

Dzień dobry.

HRABIA.

Ach tak... dzień dobry... dzień dobry.



KONIEC.

H. H. EWERS.

„OPEŃANI“.

Przełożył Stanisław Adamski. Wydaw. „Kultura i Sztuka“
(Księgarnia Akademicka) we Lwowie.

Autor ten uzyskał ostatniemi laty nadzwyczajną poczytność, a ukazanie się nowej książki z jego podpisem, staje się sensacją dnia.

Taka sława pochlebną nie jest i myliłby się, toby podług takiej przykrej sławy sądzić chciał tego pisarza, którego kultura artystyczna uprawnia do zajmowania pierwszego miejsca na Parnasie. Ewers porusza wprawdzie tematy bardzo drażliwe i zapewne rozmyślnie to robi. Jeśli zaś tajemnice djabolistycznych misterji, których był świadkiem w Paryżu, tak dalece opanowały jego twórczość, że wpływom tym ulega, to nie dla czego innego, jak tylko z owej racji, że na wyobraźnię jego oddziaływiają ożywiająco, że z tej rudy wydobywa potem wspaniałe złoto, którego niby złotnik średniowieczny czelatorskim, kunsztem stwarza najmisterniej wykończone dzieła.

„Opętani“ — to zbiór nowel. W nowelach wielki talent Ewersa jaśnieje największym chyba kunsztem, a te z obecnego zbiorku są wśród innych doskonałych jego nowel najlepsze. Składają się zaś na ten zbiorek: „Ostatnia wola Stanisławy D'Asp“; „Pająk“; „Śmierć barona Jezusa Marji Friedla“; wreszcie „Kasetka z liczmanami“.

Utwór „Pająk“ zawiera taką potęgę ekspresji dramatycznej, że czytelnik otrzymuje tu wrażenia z tą bezpośredniością jakby sam patrzył na rozgrywający się straszny dramat. A jest to coś więcej, aniżeli plastyka opowiadania; to ów kunszt, aby opanować czytelnika i przykuć jego uwagę, dając mu przeżyć wrażenia jakich dostarczyłby mu chyba teatr, na który składają się wszystkie główne rodzaje sztuki: poezja i muzyka; malarstwo, architektura i rzeźba.

I tak, jak w „Pająku“ tak i w tych drugich nowelach przedstawia Ewers ludzi, opętanych tragiczną idee fixe. Walka, taka się odbywa w tem błędnem kole tragicznie szamotających się ludzi, to temat, rozprowadzony z żelazną konsekwencją do końca, niby zawiła gra na życie i śmierć. Przy takiej książce zapomina się o rzeczywistości. Daje ona najwyższą sumę wrażeń emocjonalnych, obok zadowolenia estetycznego, które sprawia, że nie odczuwamy później owego niesmaku, jaki pozostawia utwór, obliczony wyłącznie na sensację. Ewers oddziaływa nie tylko na nerwy czytelników, ale także na intelekt i zmusza do przemyślenia doznanych przy czytaniu wrażeń. Dlatego też jego książki dając tak wiele, mają prawo obywatelstwa we wszystkich literaturach świata.

„KOKOTA LU“.

Romans z eleganckiego świata. Tłumaczyła z dwudziestego wydania za zezwoleniem autora A. Kallas.

Wydanie drugie.

Książka ta sporo narobiła u nas huku. Zapewne dzięki tytułowi. Brzmi on „pikantnie“. A nasz t. z. „czytający ogół“ — nietylko nasz zresztą, gdyż obecnie zjawisko to daje się spostrzegać wszędzie — przepada za pikanterją.

Byłoby wszakże wielką krzywdą autora, tłumaczki, gdyby kto sądził, że „Kokota Lu“ należy do tej samej skrytki, w której trzyma się pamiętniki markiza Saade, Casanowy itp. Oczywiście pensjonatom nie można zalecić książki Landsbergera. Ale też nie dla nich ona wyszła z pod pióra niemieckiego autora. W każdym razie, gdyby nawet tam się wkradła, to mniej wyrządzi szkody, niż niejedno z tolerowanych „cacek“ beletrystyki, w których pod efektami artystycznymi tkwi na dnie wyuzdanie.

A tu go brak zupełnie. Tu wszystko jest walką przeciwko wyuzdaniu. Złe ujęte zostało energicznie i z odpowiednią powagą, a jeśli zajrzymy w głąb, ku tajnym sprężynom, to przekonamy się, że „Kokota Lu“ powstała ze szlachetnych źródeł miłości człowieka, z oburzenia na to wszystko, co go deprawuje, z chęci żarliwej zwalczania zła zatruwającego organizm społeczny.

To pisał dobry człowiek, o sercu otwierającym się dla szlachetnych pobudek. Jest pewna dziecięca prawie prostota w jego sądzie o ludziach, dziecięca dlatego, że jak u dzieci, trzyma się linii najprostszyc, nie dopomaga do działania żadnych ubocznych względów. Stąd pewna jaskrawość w charakterystyce osób; stąd bezwzględność w postępowaniu jednych, a moralne wywyższenie innych.

Jeśli nie jest się nieprzystępnym dla owych pobudek, które kierowały autorem, to niepodobna uniknąć bolesnego prawie wrażenia przy czytaniu „Kokoty Lu“. Kiedy, poznawszy Luizę Kersten, — patrzymy na to, jak ową czystą i jasną istotę żelazna konieczność rzuca w błoto, jak wlecze ją za włosy przez trzęsawisko życia — to mimowoli zaciskają się pięści gniewem i gorycz napęlnia serce. I wdzięczni jesteśmy autorowi, gdy po dokonanej wiwisekcji zszywa niejako rany i wygaja je balsamem swego optymizmu, pozwalając Luizie uratować ją dzięki pomocy życiowego rozbitka.

Już to samo, że czytelnik — o ile oczywiście nie zechce w dziejach nieszczęśliwej „Kokoty Lu“, pomiędzy wierszami szukać tego, czego w niej niema — już to samo, powtarzamy, daje takie miary artystycznej wartości dzieła. Nie dokaże tego byle kto; trzeba być psychologiem i artystą, aby dobrać się do serca czytelników. Żywiol psychologiczny wybijają się w powieści Landsbergera silniej nawet, niż artyzm. W malowaniu stanu dusz okazuje on wielką pewność siebie. A posługuje się

metodą przedmiotową, niełatwą do opanowania; nie opowiada od siebie, co dzieje się w duszach ludzi, lecz każe nam poznać to w ich działaniu i postępowaniu.

Jako artyście możnaby mu zarzucić, że nie wprowadza do swej powieści nic, co wyłącznie dla estetycznej tylko strony dzieła byłoby pożądane. Unika zdobnictwa. Może jednak rozmyślnie, a nie przez jakąś indolencję lub niedowierzania swym siłom w tym kierunku; może dlatego, by realna prawda, o którą mu idzie, mogła tem donośniej przemówić.

P. Landsberger powinien być wdzięczny, p. Kallasówniej nie tylko za to, że przedstawiła go naszej publiczności, lecz w wyższym jeszcze stopniu za to, iż przekładowi „Kokoty Lu” oddała na usługi wszystkie tak cenione zalety swego pióra. Niema w tem żadnej przesady, jeśli zaznaczymy, że książkę czyta się, jakby napisana była po polsku. Nigdzie w niej, ni śladu wymuszoności, cechującej aż nazbyt często przekłady dokonywane przez mniej wytrawnych pisarzy.

Zużyty frazes o stanięciu „na wysokości zadania”, tutaj miałby zupełne zastosowanie w odniesieniu do p. Kallasówniej. Przekład dokonany przez nią jest pod każdym względem wyborny.

KARIN MICHAELIS.

RADOSNA SZKOŁA.

Tłóm. z rękopisu za zezwoleniem autorki A. Kallas.

Jest to bezsprzecznie najpiękniejszy, a zarazem najciekawszy z utworów, jaki wyszedł z pod pióra sławnej autorki „Uli Fangel” i „Niebezpiecznego wieku”. Czytając „Radosną szkołę” przeżywa się takie mnóstwo rozmaitych wrażeń coraz to innych, coraz to silniejszych, że wprost emocjonuje. Trudno oderwać się od tych kart, jak trudno byłoby rozstać się z najdroższym przyjacielem, który cudem jakimś powrócony nam został, gdyśmy go już za straconego uważali. Karmiono nas lichemi książkami — nareszcie ktoś, co pisze dobrze i ładnie, napisał książkę, która oprócz tego, że jest ciekawa i piękna, posiada humor. To jest radosny hymn na cześć młodości. To przejasny promień słońca po długich dżdżystych dniach smutku.

PROF. DR. MED. AUGUST FOREL.

ZAGADNIENIA SEKSUALNE

w świetle nauk przyrodniczych, psychologii, higieny i socjologii. Wydanie nowe ilustrowane w 2 tomach.

(11—15 tysiąc.)

Zagadnienia seksualne prof. Forela tłómaczone na wszystkie języki europejskie okazują się u nas ponownie w znacznie zmienionym wydaniu. Przekład dokonany przez dra Stanisława Aderta nie zatracił cech oryginału — owszem nawet uprzytsepniał miejsca trudniejsze do zrozumienia. W ten sposób

książka przyswojona literaturze polskiej zapełnia lukę, jaką można było odczuć w piśmiennictwie naszym na temat kwestji seksualnych. Dzieło bowiem prof. Forela jest nie tylko podręcznikiem świetnie wprowadzającym czytelnika w ogromny materiał i niezmiernie bogactwo zjawisk fizjologicznych i psychicznych — ale także daje niejednokrotnie rozwiązanie zawitych zagadnień i palących kwestji. Wykład jasny, obszerny, oparty na gruntownej znajomości przedmiotu — przykładybrane z życia zawsze trafne i doskonale pochwycone, — objaśnienia rzeczowe i rozumne, opisy żywe i plastyczne — stanowisko wobec przedmiotu godne człowieka nauki — oto zalety, które książkę tę najlepiej same przez się polecają. To też każdy powinien ją wziąć do rąk: czy to ten co szuka wyjaśnienia rzeczy znana połowicznie, czy ten wreszcie, który chciałby zagadnienia wszystkie zebrać w jedną całość i utworzyć sobie pogląd ogólny. — Praca mimo cech naukowych czyta się lekko i z wielkiem zajęciem.

SACHER-MASOCH.

DEMONICZNE KOBIETY

Na tom złożyły się bardzo ciekawe, jedyne w swoim rodzaju nowele, których tematem jest okrucieństwo kobiet, stosowane do mężczyzn. — SPIS RZECZY: Lola. Teodora. Rude włosy. Kobieta-demon. Asma. Druga młodość. Przyjaciółki. Wiera Baranow. Czerwona noc w Dragalu. Drama oszeuti. Bryganci sycylijscy. Własta. Prawo silniejszego. Dramat na wyspie Helgoland. Córka grabarza.

Powieści i nowele Sacher-Masocha są jedynymi w swoim rodzaju. Typy przezeń stwarzane dały nazwę „masochizmu“ pewnym zбочeniom na tle seksualnem. Kto chce się dowiedzieć na czem one polegają niech czyta „Demoniczne kobiety“, gdzie tematem jest okrucieństwo kobiet stosowane do mężczyzn.

SACHER-MASOCH.

WENUS W FUTRZE

Powieść.

Wydanie drugie.

Żadne z dzieł Sacher-Masocha nie osiągnęło tak powszechnej sławy jak właśnie „Wenus w futrze“. Prof. Dr. Eulenburg w Berlinie wyraził się o tem dziele: „Dzieło to nie da się prosto niczem zastąpić“. Sacher-Masoch odsłania nam śmiało smutną prawdę o okrucieństwie drzemiacem na dnie duszy kobiecej. Jest on przedstawicielem poglądu, że piękna kobieta posiada w sobie pierwiastki dzikiego despotyzmu i że stosuje ten despotyzm do mężczyzn, jeśli on tylko nie potrafi zapanować nad nią bezwzględnie.

Stąd ma Sacher-Masoch słuszną sławę jako z jednej strony niezmiernie poważany i pilnie czytany, a z drugiej strony bardzo znieawidzony powieściopisarz.

GIOVANNI BOCCACCIO.

DEKAMERON

wydanie nowe w 2 tomach z kolorowemi ilustracjami.

Dzieło to obiegło cały świat, przełożone na wszystkie języki, komentowane i trawestowane najrozmaiciej. Jedni uważają te opowiadania za wyuzdaną pornografię, inni za klasyczne dzieło, posiadające nie przemijające walory artystyczne. Że ci drudzy mieli rację, okazało się najlepiej z biegiem czasu. „Dekameron“ przetrwał wszystko i utrzymał się na powierzchni literatury wszechświatowej. Ta próba wieków zachwała go najlepiej. W Polsce od dawna wyczerpany najzupełniej, pojawia się obecnie w nowem wydaniu i znajdzie pewnie chętnych nabywców.

GIACOMO CASANOWA.

PAMIĘTNIKI

wydanie ilustrowane.

Opowiadania podróżnika-awanturnika, który przygód po świecie miał nie mało, a opisać umiał je z werwą i talentem — jest książką arcyciekawą. Autor bowiem prawdę i zmyślenie pomieszać umiał wybornie, dodał temu sporo pieprzyku, ujął w formę lekką i wykwiwną. I dlatego zyskał poczytność w całej Europie. Casanową zna każdy równie jak Dantego i Szekspira, choć pisarzem na ich miarę nie był. Ale awanturniczość jego zdobyła mu lepszą sławę, niż monumentalne dzieło.

MAURICE MAETERLINCK.

PIĘKNO WEWNĘTRZNE

Wybór z pism prozą.

Tłómaczył Stanisław Womela wydanie trzecie.

Niema na ziemi nic bardziej chciwego piękna i nic łatwiej piękniejszego od duszy. Niema na ziemi nic wznoszącego się naturalniej i uszlachetniającego się prędzej. Niema na ziemi nic słuchającego chętniej czystych i szlachetnych rozkazów. Niema na ziemi nic łatwiej poddającego się władzy myśli wyższej od innych. To też bardzo mało dusz opiera się na ziemi panowaniu duszy, oddanej pięknu.

